

**RUDYARD
KIPLING**

KAPITANOWIE
ZUCHY

Rudyard Joseph Kipling

Kapitanowie zuchy

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23534178

Kapitanowie zuchy:

Аннотация

Harvey, kilkunastoletni syn amerykańskiego bogacza, udaje się wraz z matką statkiem do Europy, by dokończyć edukację. Chłopak, przywyczajony do tego, że wszystko mu się należy, na pokładzie zachowuje się pretensjonalnie, by pokazać, jaki jest ważny i dorosły. Marynarze dają mu do zapalenia okropne cygaro. Organizm Harveya nie reaguje na nie dobrze i wymęczony chłopak ląduje za burtą. Ratuje go załoga starej rybackiej łodzi, a jej kapitan nie zamierza wracać na ląd przez kilka miesięcy. Amerykański panicz będzie musiał zmierzyć się z nowym trybem życia i obowiązkami. Kapitanowie zuchy to powieść autorstwa angielskiego pisarza Rudyarda Kiplinga, wydana w 1897 roku. Kipling zasłynął przede wszystkim jako autor Księgi dżungli, jego twórczość była kierowana głównie do młodzieży.

Содержание

Rozdział I	4
Rozdział II	25
Rozdział III	54
Конец ознакомительного фрагмента.	67

Rudyard Kipling

Kapitanowie zuchy

Rozdział I

Drzwi palarni okrętowej, wychodzące na pokład, stały otworem – w stronę, skąd słała się północnoatlantycka mgła. Potężny parowiec liniowy to się pochylał, to wznosił w swym biegu, gwizdząc dla ostrzeżenia statków rybackich.

– Ten żółtodziób Cheyne jest doprawdy największym utrapieniem całego okrętu – odezwał się mężczyzna z hałasem zatraskując drzwi. – Wcale go tu nie potrzeba... za smarkaty!

Jasnowłosey Niemiec pochwycił przekąskę i zagryzając ją pomrukiwał:

– Ja znam ten rasa. Ameriga jest pełni tego rodzaj szlowieki. Ja mówi wam, że wy powinni sprowacać harapi wolni od tarifa celna.

– Tfy! Bogiem a prawdą, on tu nic nie winien... owszem, bardziej godzien politowania niż ktokolwiek – wycedził przez zęby pasażer rodem z Nowego Jorku, leżący jak długi na poduszkach, tuż pod oknem sufitowym. – Jeszcze był brzdącem, a już go włączono po hotelach. Dziś rano rozmawiałem z jego matką. Miła kobieta, ale nie daje sobie z nim rady... Teraz chłopak jedzie do Europy dla ukończenia edukacji.

– Edukacja jeszcze się nie zaczęła – zabrał głos filadelfijczyk zwinięty w kłębek gdzieś w kącie. – Ten chłopak, jak sam mi mówił, dostaje dwieście dolarów miesięcznie na drobne sprawunki... a nie ma jeszcze szesnastu lat...

– Jego ojciec to ten, co ma szelazni koleje? – zapytał Niemiec.

– Tak. Koleje, kopalnie, tartaki i przedsiębiorstwa okrętowe. Stary bogacz całą gębą! Jeden dom w San Diego, drugi w Los Angeles; z sześć linii kolejowych i połowa tartaków na wybrzeżu Pacyfiku należy do niego... więc nic dziwnego, że żona trwoni pieniądze – rozwodził się filadelfijczyk. – Mówi, że jej się nie podoba na zachodzie... dlatego włóczy się po świecie wraz z synalkiem, szukając (jak przypuszczam) czegoś, co by go mogło rozerwać... Floryda, Adirondacks, Lakewood, Hot Springs, Nowy Jork... i tak w kółko. Teraz to on umie niewiele więcej od kancelisty z drugorzędnego hotelu. Gdy ukończy edukację w Europie, będzie z niego ananas, no!

– A cóż na to ten stary, który ma nad nim osobistą pieczę? – wydobył się głos z głębi.

– Stary sam piętrzy przeszkody. Ale coś mi mówi, że próżno się niepokoicie. Za kilka lat sam pozna, że był w błędzie. Szkoda chłopaka, bo jest w nim sporo dobrego materiału... tylko trzeba umieć wziąć się do niego.

– Z harapem¹! Z harapem! – burczał Niemiec.

¹ *harap* – bicz myśliwski używany najczęściej na psy, zbudowany z krótkiej rękojeści, do której przymocowana jest długa, zwężająca się plecionka rzemienna, przechodząca na końcu w plecionkę z włosia. [przypis edytorski]

Znowu rozległo się trzaśnięcie drzwiami i wychylił się chudy, słabowicie zbudowany chłopak, lat może piętnastu, z niedopaloną papierosem w kąciку ust. Bladożółtawa cera była złą oznaką u człowieka tak młodego, zaś spojrzenie kojarzyło w sobie brak stanowczości z zarozumiałością oraz fanfaronadą. Ubrany był w wiśniowego koloru spencerek², krótkie spodenki, czerwone pończochy i cyklistowskie buty, a czerwoną flanelową czapkę zsunął na tył głowy. Przebiegł oczyma po zebranych towarzystwie, zagwizdał przez zęby i przemówił donośnym a piskliwym głosem:

– No, to ci dopiero gęsta mgła. Słysząc jak na łodziach rybackich, to z tej, to z tamtej strony, wrzeszczą przerażeni ludzie. Czyż nie byłaby to wspaniała heca, gdybyśmy tak przejechali jedną z nich?

– Zamknij pan drzwi, panie Harvey – ozwał się nowojorczyk.
– Zamknij drzwi i zostań z tamtej strony. Nie potrzeba tu ciebie.

– Kto mi zabroni wejść? – odparł chłopak stanowczym głosem. – Czy *pan* zapłacił za moją podróż, panie Martin? Podobno mam tu takie same prawa jak każdy z was.

Wziął kilka pionków z szachownicy i począł je przerzucać z jednej ręki do drugiej.

– Śmiertelne nudy! Czy nie zagralibyśmy partyjki pokera?
Nie było odpowiedzi, więc chłopak jął puszczać kłęby dymu z papierosa, zabębnił nie bardzo czystymi palcami po stole. Następnie wydobył plik papierów wartościowych jak gdyby

² *spencerek* (daw.) – kurtka, zwykle z dwurzędowym zapięciem. [przypis edytorski]

zabierając się do ich przeliczania.

– Jakże się dziś miewa pańska mamusia? – zagadnął któryś z pasażerów. – Nie widziałem jej na drugim śniadaniu.

– Zapewne jest w swojej kajucie. Mamie trudno przyzwycząić się do morza... prawie każdą podróż przypląca chorobą. Dam pokojówce piętnaście dolarów, żeby się nią opiekowała. Nie schodzę głębiej, niż każe mi przeczność. Doznaję jakiegoś niesamowitego uczucia, gdy przechodzę przez tę piwnicę. Jestem dopiero po raz pierwszy na morzu!

– E, nie tłumacz się pan, panie Harvey!

– Kto się tłumaczy? Przepląwam dopiero po raz pierwszy przez ocean, moi panowie, i pominąwszy pierwszy dzień żegluga nie chorowałem ani troszkę. Dalibóg, że nie!

To rzekłszy trzasnął z triumfem pięścią w stół, zwilżył palec i jał w dalszym ciągu przeliczać banknoty.

– Oo! Z pana jest pierwszorzędna maszyna z napisem na samym froncie – ziewnął filadelfijczyk. – Jeżeli pan nie będziesz miał się na baczności, to zrobisz niezłą karierę.

– Wiem o tym. Jestem Amerykaninem... teraz, zawsze i po wszystkie czasy. Pokażę im to... jak tylko się dostanę do Europy. Pff! Papieros mi się wypalił. Nie mogę palić tego paskudztwa, które sprzedaje steward. Czy który z panów nie ma przy sobie prawdziwego tureckiego papierosa?

W tejże chwili do palarni wpadł naczelný inżynier, rumiany, uśmiechnięty i zroszony od mgły.

– Panie Mac – zawołał Harvey radośnie – skąd by tu zdobyć

coś podobnego?

– W sposób najzwyczajniejszy w świecie – brzmiała poważna odpowiedź. – Niech dzieci będą grzeczne względem starszych, to starsi postarają się je za to wynagrodzić.

Z kąta wydobył się przytłumiony chichot. Niemiec otworzył pudełko z cygarami i wręczył Harvey'owi cienkie jak palec cygaro.

– To jest szecz dobri do palić, mój mlodi przyjaczel! – odezwał się. – Kce pan probirowacz? Tak? Pan bendże po tym tak samo zadowoloni bicz.

Harvey z junacką miną zapalił cygaro wyglądające niezbyt zachęcająco: czuł, że dostał się w towarzystwo ludzi dorosłych.

– Trzeba by czegoś mocniejszego, by zwalić mnie z nóg! – pochwalił się, nie wiedząc, że pali okropny produkt, zwany *Wheeling stogie*.

– To będziemy mi zaraz widzec – bąknął Niemiec. – Gdzie są mi teraz, pan Mactonal?

– We właściwym miejscu albo gdzieś niedaleko od niego, panie Schäfer – odpowiedział inżynier. – Dziś w nocy będziemy na Wielkiej Ławicy; ale teraz, mówiąc ogólnie, znajdujemy się wśród statków rybackich. Dziś od południa otarliśmy się o trzy baty i o mało co nie zerwaliśmy bomu ze statku francuskiego... widocznie podjechaliśmy za blisko...

– Szmakuje panu mój cygar? – zagadnął Niemiec widząc, że oczy Harvey'a napełniły się łzami.

– Doskonałe! Przemięły zapach! – odpowiedział przez

zaciśnięte zęby. – Zdaje mi się, żeśmy nieco zwolnili biegu... czy nie tak? Skoczę zobaczyć jak wygląda pław.

– I ja by zrobiłem to samo na pański miejsce – oświadczył Niemiec.

Harvey chwiejnym krokiem powłókł się poprzez mokre pokłady ku balustradzie. Czuł się bardzo niedobrze; atoli nieopodal widać było stewarda związującego krzesła stojące na pokładzie... Ponieważ chłopak chełpił się przed nim niejednokrotnie, że nigdy nie uległ morskiej chorobie, przeto duma kazała mu iść na tył okrętu, na pokład przy jadalni drugiej klasy, kończący się wygięciem w kształcie żółwiej skorupy. Pokład był pusty, więc Harvey przyczołgał się aż do jego najdalszej krawędzi, niemal pod samą banderę. Tutaj skurczył się we dwoje w bezsilnej męczarni, albowiem w tejże chwili *Wheeling stogie* wraz z szumem rozbryzgów wodnych i trzaskiem śruby okrętowej poczęły jak młyński pytel wytrząsać zeń duszę. Głowa mu jakby obrzękła; ogniste skry płąsały przed oczyma; ciało zdawało się tracić wagę, a pięty kręciły się jak chorągiewka pod tchnieniem bryzy. Morska choroba jęła odbierać mu stopniowo wszystkie siły, a kołysanie okrętu wyparło go poza balustradę na śliskie obrzeże burty. Naraz z ośrodka mgły wychynął poziomy, szary bałwan, niejako pochwycił Harvey'a pod ramię i uniósł go daleko od okrętu, hen w stronę nawietrzną; zwarł się ponad nim zielony przestwór – i chłopiec usnął spokojnie...

Obudził go dźwięk trąbki przypominający mu sygnał

obiadowy, jaki wygrywano w szkółce letniej w Adirondacks, w której swego czasu przebywał. Stopniowo uprzytomnił sobie, że jest Harvey'em Cheyne, utopionym i pochłoniętym przez ocean... jednakowoż nazbyt był osłabiony, by wszystkie szczegóły pozbierać do kupy. Jakaś nieznana woń cisnęła mu się w nozdrza; ział jakiś, wilgotny a kleisty, przebiegał mu drgawkami po plecach, a słona woda wciskając się we wszystkie pory czyniła go wprost bezradnym. Gdy otworzył oczy, spostrzegł, że znajduje się jeszcze na powierzchni morza, gdyż wokoło niego pędziły srebrzyste wznórki fal, sam zaś spoczywał na stosie półżywych ryb wbijając oczy w szerokie bary jakiegoś człowieka, odziane w błękitny wełniany kabat³.

„O źle – pomyślał sobie chłopak. – Nie ma co mówić, już zginąłem... a to wszystko zmierza właśnie do tego, by mnie zgubić!”

Jęknął. Postać siedząca tyłem do niego odwróciła głowę, ukazując parę kolczyków na pół schowanych w czarnej, kędzierzawej czuprynie.

– Aha! Już się czujesz trochę lepiej? – ozwał się nieznajomy. – Poleż jeszcze chwilę spokojnie; postaramy się wszystko lepiej urządzić.

To rzekłszy, nieznajomy zwinnym ruchem wiosła skierował dziób łodzi na niespienioną przechybę morską, która uniosła łódź na całe dwadzieścia stóp wwyż, jedynie po to, by następnie zsunąć ją w dół, w zakłęśłość szklanej otchłani. Jednakże

³ *kabat* – rodzaj surduta, ubranie robocze. [przypis edytorski]

ta wspinaczka po wyniosłościach nie powstrzymała monologu człowieka w błękitnym kubraku.

– Pięknie się spisałem, powiadam ci, zem cię przyłapał. A co? Ale powiadam ci, jeszcze lepiej się spisałem, zem się nie dał złapać waszemu okrętowi! Jak to się stało, że wypadłeś do wody?

– Byłem chory – odpowiedział Harvey – byłem chory i nie mogłem sobie dać rady.

– W samą porę zdążyłem zatrzeć. Wasz okręt trochę się odsunął na bok... Patrzą ci ja, a tu ty spadasz z okrętu w wodę. A co-o-o? Już se myślę, że cię śruba poszarpała w drobne kawałeczki, a tymczasem wypłynąłeś... i płyniesz prosto na mnie... więc ja, co robię. Cap ciebie kiej⁴ wielką rybę. Upiekło ci się tym razem... pożyczysz jeszcze żdziebko na tym świecie...

– Gdzież ja jestem? – spytał Harvey, nie mogąc jeszcze sobie uprzytomnić, że jego życie było najzupełniej bezpieczne.

– Jesteś ze mną na rybackim bacie... Nazywam się Manuel, a należę do załogi szonera *We're Here*⁵ z Gloucester. Mieszkam w Gloucester. Wkrótce dostaniemy wieczerzę... A co-o-o?

Człowiek ten zdawał się mieć dwie pary rąk i głowę z lanego żelaza, bo nie poprzestając na trąbieniu na wielkiej muszli morskiej musiał wstawać na równe nogi i utrzymując równowagę na kołyszącej się płaskiej łodzi rzucał w gęstą mgłę chrapliwy, donośny okrzyk. Jak długo trwało to zajęcie, tego Harvey nie potrafił sobie uprzytomnić, gdyż niebawem przerażony

⁴ kiej (gw.) – niby; tak jak. [przypis edytorski]

⁵ *we're here* (ang.) – jesteście tutaj. [przypis tłumacza]

widokiem dymiących wodnych fal, ułożył się z powrotem na wznak. Jak przez sen słyszał wystrzał armatni, granie trąbki i jakieś krzyki. Coś większego od łodzi rybackiej, lecz równie ruchliwego i zwinnego jak ona zamajaczyło nieopodal. Odezwał się gwar kilku naraz głosów, po czym chłopak osunął się w jakąś ciemną, dudniącą czeluść, gdzie ludzie odziani w nieprzemakalne ubrania poczęstowali go jakimś ciepłym napojem i rozebrali go z wierzchniej odzieży... Wówczas zmorzył go sen.

Gdy się przebudził, zaczął nasłuchiwać, czy nie odezwie się pierwszy dzwonek ogłaszający śniadanie na parowcu... i dziwne mu się wydało, czemu to jego kajuta tak zmaląła. Obróciwszy się, ujrzał ciasną, trójkątną klitkę, oświetloną kagankiem zawieszonym na sporej, prostokątnej belce. W głębi siedział chłopak, mniej więcej w tym samym wieku co Harvey, o płaskiej, czerwonej twarzy i szarych, ruchliwych oczach. Był ubrany w błękitny kabat i wysokie, skórzane buty. Kilka par tego samego obuwia, stara czapka i parę zdartych wełnianych skarpetek leżało na podłodze, a czarne i żółte buksy⁶ chybotwały się koło legowisk. Całe to miejsce było szczelnie wypełnione przeróżnymi zapachami. Buksy odznaczały się szczególnie zawieszistą wonią, która tworzyła jak gdyby fundament dla zapachów smażonej ryby, przypalonego tłuszczu, farby, pieprzu i zatechłego tytoniu; wszystkie one zaś wiązały się w jedną całość

⁶ *buksa* – mocna, gruba lina okrętowa; szczególnie lina używana do holowania statku.
[przypis edytorski]

z zapachem desek okrętowych i słonej wody.

Harvey ze zgrozą stwierdził, że na jego legowisku nie ma wcale prześcieradła; spoczywał na kawałku brudnej powłoczki wypchanej wiórami i gałganami. Na domiar złego ruchy statku zgoła nie były podobne do ruchów parowca: nie prześlizgiwał się i nie toczył gładko po falach, tylko podrygiwał i kręcił się w kółko bezcelowo i bezradnie jak żrebak przywiązany na postronku. Tuż nad uchem huczał mu rozgwar fal morskich, a wszędzie wokoło i nad nim skrzypiały i jęczały belki okrętowe. Wszystko to przyczyniło się do tego, że nieborak począł chrząkać w sposób desperacki i rozmyślać o swej matce.

– Co? Już lepiej się czujesz? – zagadnął go chłopak, szczerząc zęby w uśmiechu. – Chciałbyś się napić kawy?

Przyniósł mu cynowy kubek napełniony tym płynem i dosypał do niego melasy.

– Czy nie macie tu mleka? – zapytał Harvey, rozglądając się w ciemności, jakby spodziewał się, że pomiędzy dwoma rzędami legowisk dostrzeże gdzieś krowę.

– O, nie! – odpowiedział chłopak. – I nie będziemy go mieli aż gdzieś koło połowy września. Ale to fajna kawa. Sam ją przyrządziłem.

Harvey wypił w milczeniu, po czym z wielką łapczywością dobrał się do półmiska pełnego płatków kruchej wieprzowiny podanej mu przez chłopca.

– Wsuszyłem ci ubranie, zdaje mi się, że się odrobinę skurczyło – mówił chłopak dalej. – Nie bardzo one tu do nas

pasują... te twoje szmatki. Obróć no się i pokaż, czyś się gdzieś nie skaleczył.

Harvey wyciągał się w najróżniejsze strony, jednakże nigdzie na ciele nie stwierdził najmniejszego obrażenia.

– To byczo! – ucieszył się z całego serca chłopak. – Rozprostuj gnaty i chodź na pokład. Tato chce się zobaczyć z tobą. Ja jestem jego synem... mówią na mnie Dan... jestem też pomocnikiem kucharza... i spełniam na okręcie wszystko, do czego nie chcą się wziąć inni, starsi ode mnie. Prócz mnie nie ma tu innego chłopaka, odkąd Otto utonął w morzu... Był to Oleander i miał już dwadzieścia lat. A jakże to się stało, żeś podczas ciszy morskiej runął w wodę?

– To nie była cisza – odrzekł Harvey posepnie. – Dał siarczysty wiatr, a ja cierpiałem na chorobę morską. Zdaje się, że musiałem przelecieć przez balustradę.

– Wczoraj i zeszłej nocy morze było trochę rozkołysane – zauważył chłopak – ale jeżeli to uważasz za siarczysty wiatr... – (tu zagwizdał przez zęby). – Napatrzysz się jeszcze niejednego, zanim odbędziesz całą przeprawę! Ale śpiesz się! Tato czeka.

Jak wielu innych młodzieńców, tak i Harvey nigdy w dotychczasowym swym życiu nie otrzymał polecenia skierowanego wprost do siebie – a przynajmniej w podobnym wypadku na pewno nie obesłoby się bez długich, a częstokroć łzawych, pouczeń o korzyściach płynących z posłuszeństwa i o powodach danego żądania. Pani Cheyne zawsze się bała prób łamania jego charakteru, co niewątpliwie było powodem, że

sama znajdowała się na krawędzi rozstroju nerwowego. Toteż jej synkowi wydało się rzeczą niepojętą, iż miałby się śpieszyć dla czyjejs tam przyjemności; zdziwienia tego nie omieszkał ubrać w słowa:

– Twój tato mógłby zejść tu do mnie na dół, jeżeli tak pragnie rozmowy ze mną. Życzę sobie, żeby mnie zaraz zawiózł stąd do Nowego Jorku... opłaci mu się to sowicie.

Dan otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– Słuchaj no, tato – krzyknął w stronę luku kasztelu przedniego – on powiada, że jeśli ci na tym zależy, możesz zleźć na dół i zobaczyć się z nim. Słyszysz, tato?

Na to zabrzmiała odpowiedź wypowiedziana głosem tak grubym, iż Harvey nigdy przedtem nie przypuszczał, by coś podobnego mogło się wydobyć z ludzkiej krtani.

– Nie błażnij, Dan, ino przyślij go do mnie!

Dan zaśmiał się półgłosem i cisnął Harvey'owi jego pomarszczone i pokrzywione buciki. W głosie odzywającym się z pokładu było coś takiego, co nakazało paniczekowi zataić bezmiar kipiącej w nim wściekłości i pocieszać się myślą, że w drodze powrotnej do domu uda mu się z czasem zdać szczegółową relację o sobie i o bogactwach swego ojca. To ocalenie z pewnością uczyni go bohaterem wśród przyjaciół. Z pomocą drabinki sznurowej wygramolił się na pokład i przebywszy mnóstwo przeszkód, dowlókł się chwiejnym krokiem na tył okrętu, gdzie na schodach wiodących ku tylnemu pokładowi siedział mały, przysadzisty, wygolony mężczyzna.

Wichura uspokoiła się podczas nocy, a morska toń, rozległa i gnuśna, upstrzona była wzdłuż widnokregu żaglami kilkunastu statków rybackich. Wśród nich widniały czarne punkciki łódek rybackich. Szoner, opatrzony trójkątnym żaglem na maszcie głównym, płaśał sobie niefrasobliwie na kotwicy, a oprócz człowieka przy daszku kabiny nie było na nim żywej duszy.

– Dzień dobry... dobre popołudnie, chciałem powiedzieć. Przespałeś bez mała całą dobę, młody smyku – brzmiało powitanie.

– Dzień dobry – odpowiedział Harvey. Nie podobało mu się, że mówiono doń: „smyku” i jako człowiek uratowany od zatonięcia oczekiwał, iż przyjmą go ze współczuciem. Matka cierpiała niewysłowione męki, ilekroć synek zamoczył sobie nogi, natomiast ten marynarz nawet się nie wzruszył jego przygodą.

– No, a teraz posłuchamy, jak to tam było. Cokolwiek kto o tym powie, była to, koniec końców, prawdziwa łaska Opatrzności. Jak ci na imię? A skąd ty? Czy nie z Europy?

Harvey podał swoje nazwisko, nazwę parowca oraz krótki opis swej przygody, kończąc rzecz całą żądaniem, żeby go odwieziono natychmiast do Nowego Jorku, gdzie jego ojciec zapłaci im każdą sumę, jakiej sobie zażyczą.

– Hm! – ozwał się wygolony mężczyzna, bynajmniej niewzruszony ostatnimi słowami Harvey'a. – Nie powiem, byśmy mieli wielki szacunek dla człeka, choćby nawet tak smarkatego jak ty, co podczas ciszy morskiej potrafi spaść z tak wielkiego

okrętu w wodę... a jakby tego było mało, tłumaczy się, że miał morską chorobę!

– Tłumaczy! – krzyknął Harvey. – Czy pan sądzi, że wypadłem dla zabawy, ażeby dostać się na wasz brudny statek?

– Nie mogę ci, mój synku, na to odpowiedzieć, bo nie wiem, co ty uważasz za zabawę. Jednakże, kiejbym⁷ był tobą, nie przeżywałbym tak brzydko tego statku, który za łaską Opatrzności przyniósł ci ratunek. Po pierwsze, jest to bezbożne bluźnierstwo; po drugie, obraża to mnie na moim honorze... a ja ci jestem Disko Troop ze statku *We're Here*, o czym pewnikiem jeszcze nie wiesz.

– Nie wiem ani też nie chcę wiedzieć! – odparł Harvey. – Ma się rozumieć, że jestem wam wdzięczny za ocalenie i inne wyświadczone mi przysługi, ale chciałbym, żebyście zrozumieli, że im prędzej odwieziecie mnie do Nowego Jorku, tym większa czeka was nagroda.

– Jak... mam to rozumieć? – zapytał Troop, podnosząc jedną z krzaczastych brwi, spod której wyjrzało niebieskie oko, łagodne a jednocześnie podejrzliwe.

– W dolarach i centach – odrzekł Harvey, myśląc z radością, jakie wrażenie wywołają jego słowa. – Dolary i centy w bitej monecie!...

To rzekłszy, włożył rękę do kieszeni i z lekka wydał brzuch, co u niego było formą okazywania swej wspaniałości, po czym mówił dalej:

⁷ kiejbym (gw.) – gdybym. [przypis edytorski]

– Gdy dowiedziecie mnie do domu, czeka was najlepszy zarobek, jaki się wam udało zdobyć w ciągu całego życia. Jestem jedynym synem Harvey'a Cheyne'a.

– Wielki to honor dla niego – rzekł Disko oschle.

– Ale jeżeli nie wiecie, kim jest Harvey Cheyne, to jeszcze mało wiecie... i basta. Teraz zawróćcie swój statek i ruszajcie co tchu.

Harvey wyobrażał sobie, że większa część Ameryki to ludzie rozmawiający wciąż z zazdrością o dolarach jego ojca.

– Może zawrócę, a może nie! Nie żołądkuj się, smyku, bo to i we mnie porusza wątrobę.

Harvey posłyszał chichot Dana niby to zajętego jakąś robotą koło fokmasztu – i krew uderzyła mu do policzków.

– Zapłacimy i za to – ozwał się. – Jak pan przypuszcza, kiedy dostaniemy się do Nowego Jorku?

– Do chrzanu mi potrzebny ten Nowy Jork... a choćby i Boston! Gdziesik⁸ we wrześnieu może zobaczymy Eastern Point, a twój tatulo (naprawdę, bardzo mi przykro, że o nim nie słyssał) będzie łaskaw dać mi na łapę dziesięć dolarów, wedle tego, co mi tu pedasz⁹. Kto wie, może wtedy nawet mi ich nie da!

– Dziesięć dolarów! Co znowu! Przypatrz się, ja...

To mówiąc Harvey zagłębił rękę w kieszeni, szukając zwitka banknotów... lecz wyciągnął jedynie rozmokłe pudełko z papierosami.

⁸ *gdziesik* (gw.) – gdzieś. [przypis edytorski]

⁹ *pedasz* (gw.) – powiadasz, mówisz. [przypis edytorski]

– Szmuglowane i niezdrowe na płuca! Ciśnij je w morze, smyku.

– Ukradziono! – krzyknął Harvey zapalczywie.

– Więc chyba będziesz musiał czekać, aż się znów obaczysz ze swym tatą, ażeby mnie wynagrodzić?

– Sto trzydzieści cztery dolary... wszystko mi skradziono! – jęczał Harvey, przetrząsając zawzięcie wszystkie kieszenie. – Oddaj mi je!

Surowe oblicze starego Troopa dziwnie zmieniło się na chwilę.

– I cożeś ty, smyku, w tak smarkatym wieku robił z tymi stu trzydziestu czterema dolarami?

– Była to część kwoty, jaką otrzymywałem miesięcznie... na drobne wydatki.

Harvey mniemał, że słowa te wywrą skutek piorunujący; tymczasem okazało się, że był to strzał chybiony.

– Ho ho! Sto trzydzieści cztery dolary, to ino¹⁰ częśćka kwoty przeznaczonej na drobne wydatki... i to ino na jeden miesiąc! Nie przypominasz sobie, czy nie uderzyłeś się o co, kiedy spadałeś z okrętu? Na ten przykład, czy nie rozbiłeś się o jaki słupek? Stary Hasken z *East Wind* – mówił Troop jakby sam do siebie – potknął się o zapadnię i wyrznął głową... i to jak setnie!... w maszt główny. W jakie trzy tygodnie później stary Hasken ubzdurał sobie, że *East Wind* jest okrętem wojennym, co ma niszczyć statki handlowe, więc wypowiedział wojnę Wyspie

¹⁰ ino (gw.) – tylko. [przypis edytorski]

Sobolowej... bo ta należała do Anglików, a spadzizny ciągnęły się tam trochę za daleko. Zaszylili go wtedy w siennik, iż mu wystawały ino nogi i głowa, i tak odbywał resztę podróży; teraz siedzi w Essey, w swej chałupie, i bawi się lalkami z gałganów...

Harvey dławili się od wściekłości, ale Troop dalej przemawiał tonem pocieszającym:

– Litujemy się nad tobą... bardzo się litujemy... boś jeszcze taki młody. Przypuszczam, że już nie będziemy mówili o pieniądzech.

– Rozumie się, że nie chcecie o nich mówić... boście mi je ukradli.

– Uspokój się. Myśl sobie, żeśmy je ukradli, skoro chcesz. A teraz pomówmy o powrocie. My tu nie widujemy ani pół setki dolarów na miesiąc... cóż dopiero, gdyby szło o drobne wydatki... Jeżeli się nam poszczęści, to gdzieś mniej więcej w pierwszych tygodniach września dostaniemy się znów na ląd.

– Ale... ale teraz jest maj, a ja nie mogę siedzieć tu beczynnie tylko dlatego, że wy chcecie łowić ryby! Nie mogę, powtarzam!

– Słusznie i sprawiedliwie; sprawiedliwie i słusznie. Nikt nie każe ci tu siedzieć beczynnie. Jest tu dla ciebie huk roboty, bo niedawno zginął nam Otto... utonął w Le Have. Tak se miarkuję, że zmiotła go wichura, która nas tam przyłapała... w każdym razie nigdy już nie wrócił biedaczysko. Tyś się nam tu w sam raz nawinał, jakbyś spadł z nieba. Ale coś mi się widzi, że niewiele umiesz. Czy nie tak?

– Mogę w tym względzie oświecić ciebie i twoją hałastę, gdy dostaniemy się na ląd – odciął się Harvey, kiwając złośliwie głową i mamrocąc płonne pogroźki pod adresem „korsarzy”, co na ustach Troopa wywołało uśmiech, niezupełnie zresztą szczery.

– Aha! Umiesz rzecz jedną: dużo gadać! Ale na pokładzie *We're Here* nikt ci nie każe zanadto mleć jęzorem. Miej oczy otwarte i pomagaj Danowi robić to, co mu nakazano, i tak dalej... a ja ci dam... może nie będziesz chciał przyjąć, ale ci wypłacę... dziesięć i pół dolara za każdy miesiąc; pod koniec wyprawy będziesz miał, powiedzmy, trzydzieści pięć. Trochę pracy zawdy¹¹ ci wybije te fupy z głowy, a potem będziesz mógł nam bajać o swym tatusiu, swej mamie i o forsie.

– Mama jest na parowcu – rzekł Harvey, mając łzy w oczach.
– Zawieźcie mnie zaraz do Nowego Jorku.

– Biedne kobiecisko! Biedne kobiecisko! Ale kiedy już cię będzie miała z powrotem, zapomni o całym tym frasunku. Na *We're Here* jest nas ośmiu chłopów, a jeżelibyśmy teraz pojechali z powrotem (to przeszło tysiąc mil stąd), to byśmy zmitrężyli cały sezon łowu. Chociażbym ja się na to zgodził, to inni się nie zgodzą!

– Ależ mój ojciec wam to wynagrodzi.

– Będzie się starał. Nie wątpię, że się postara – odparł Troop – ale połów całego sezonu, to jedyny zarobek i utrzymanie ośmiu ludzi... a twojemu zdrowiu to nie zaszkodzi, gdy zobaczysz

¹¹ *zawdy* (gw.) – zawsze. [przypis edytorski]

ojczulka dopiero w jesieni. A teraz ruszaj pomagać Danowi. Dostaniesz, jak już powiedziałem, dziesięć i pół na miesiąc, a nadto, ma się rozumieć, całkowite utrzymanie, pospołu z resztą załogi.

– Czy pan myśli, że będę czyścił garnki, rondle i inne graty?

– zapytał Harvey.

– Tak i inne graty!... A nie wolno ci podnosić głosu, młokosie!

– Nie będę! Ojciec da wam tyle pieniędzy, że można by za to zakupić całą tę brudną kadź z rybami – tu Harvey tupnął nogą w pokład – nawet dziesięć razy więcej... jeżeli przewiezicie mnie cało do Nowego Jorku... a zresztą... zresztą... jesteście i tak mi winni sto trzydzieści dolarów!

– Ja-ak? – zapytał Troop, a twarz mu pociemniała.

– Jak? Pan wie doskonale, jak!... Na domiar wszystkiego chcecie, ażebym spełniał u was pracę służebną – (z tego przymiotnika Harvey był wielce dumny) – aż do jesieni. Mówię wam, że z tego nic nie będzie! Słyszeliście?

Troop przez chwilę z wielkim zajęciem przyglądał się wierzchołkowi masztu głównego, jakby nie zważając na Harvey'a, który łajał go zajadle, zachodząc raz z tej, raz z owej strony.

– Tfu! – ozwał się na koniec stary. – Wedle mego rozumienia ja tu za to nie ponoszę nijakiej odpowiedzialności. Zależy, co kto o tym sądzi...

Dan podkradł się chyłkiem i pociągnął Harvey'a za łokieć.

– Nie targuj się już z ojcem – radził mu poufnie. – Już ze dwa albo i trzy razy nazwałeś go złodziejem, a takiego przezwiska on nie ścierpi, jako żywo, od nikogo.

– Nie ustąpię! – krzyknął Harvey głosem niemal rozzwierającym, puszczając mimo uszu radę.

Troop ważył jakąś myśl w głowie.

– Widzi mi się, że coś tu poczynasz nie bardzo po sąsiedzku – ozwał się w końcu, przenosząc wzrok na Harvey'a. – Nie gniewam się wcale na ciebie, młokosie, a i ty nie będziesz się na mnie gniewał, gdy się żółć w tobie uspokoi. Chyba zrozumiałeś, co mówię? Dostaniesz dziesięć i pół dolara na miesiąc, jako drugi chłopak okrętowy... i całe utrzymanie... podwójnie na tym zarobisz, bo się i czegoś nauczysz, i nabierzesz zdrowia. A więc: tak czy nie?

– Nie! – zawołał Harvey. – Odwieźcie mnie do Nowego Jorku albo postaram się, żeby was...

Nie zdołał pojąć, co się z nim w tej chwili stało. Zdawał sobie sprawę jedynie z tego, że leży jak długi koło burty i trzyma się za nos, z którego ciurkiem leje się krew... a Troop przygląda mu się, jakby nigdy nic, spokojnym wzrokiem.

– Danie – rzekł stary rybak do syna – on nie może być odpowiedzialny ani za przezwiska, jakimi mnie obrzucał, ani za tamto inne gadanie... ani za skakanie z parowca... bo i to pewnikiem uczynił... jestem prawie przekonany o tym. Bądź dla niego wyrozumiały i grzeczny, Danie, bo inaczej poczęstuję cię dwa razy mocniej, niż jego poczęstowałem! Krwotoki czasem

przywracają człowiekowi zdrowy rozsądek.

To rzekłszy, Troop z uroczystą powagą zszedł do kajuty, gdzie kwaterował wraz z resztą starszozny; Dana pozostawił na pokładzie, aby miał kto pocieszać nieszczęsnego dziedzica trzydziestu milionów.

Rozdział II

– Przestrzegałem cię – mówił Dan, gdy krople krwi broczyły na szerniałe, zatłuszczone deski pokładu. – Tato wcale nie jest porywczy, aleś ty sobie zarobił na to, co cię spotkało. Fe! Kto widział tak się wszystkim przejmować! – Ramiona Harvey'a to wznosiły się, to opadały w spazmach szlochania. – Znam i ja to uczucie! Gdy tata pierwszy raz sprawił mi lanie, jużem nie chciał więcej... wystarczyło mi to za wszystkie czasy, raz... Było to podczas pierwszej mej wyprawy... Człek się wtedy czuje chory i taki opuszczony! Wiem coś o tym.

– A jakże – jęknął Harvey. – Ten człowiek jest albo szalony, albo pijany... a ja jestem wobec niego bezsilny!...

– Nie mów tego tatkowi – szepnął Dan. – On nie cierpi nijakich trunków, a... no tak, on mi powiedział, że ty masz kielbke we łbie. Co cię podkusiło, żeby przezywać go złodziejem? Przecież to mój tato!

Harvey usiadł, wytarł sobie nos i opowiedział historię o zaginięciu paczki banknotów.

– Nie jestem wariatem – zakończył. – Tylko... tylko twój ojciec nigdy nie widział na raz więcej pieniędzy jak banknot pięciodolarowy, a mój ojciec mógłby co tydzień kupować taką łódkę jak ta i nawet nie sprawiłoby mu to różnicy.

– E, ty nawet nie wiesz, co wart jest nasz *We're Here*. Ale twój tato musi mieć kupę pieniędzy. Skąd je bierze?

– Ojciec ma kopalnie złota i inne przedsiębiorstwa na Zachodzie¹².

– Czytałem o podobnych przedsiębiorstwach. I to na samym Zachodzie? Pewnikiem jeździ na koniu i ma przy boku pistolet jak to można widzieć w cyrku... o takich ludziach mówiono, że są z Dzikiego Zachodu... a słyszałem, że ostrogi i wędzidła mieli ze szczerzego srebra.

– O ty barania głowo! – zawołał Harvey mimo woli rozbawiony. – Mój ojciec nie potrzebuje koni. Gdy chce się przejechać, bierze wagon.

– Jak to? Wołowy?

– Ależ nie! Ma się rozumieć, że swój własny wagon... prywatny! Czy widziałeś kiedy prywatny wagon?

– Slatin Beeman ma taki... – rzekł Dan z pewną ostrożnością. – Widziałem ten wagon w bostońskim Union Depot... trzej Murzyni popychali go, żeby ruszył. Ale Slatin Beeman, jak mówią, jest właścicielem bodaj wszystkich kolei na Long Island; powiadają też, że zakupił prawie połowę New Hampshire, ogroził to wszystko drutami i napchał tam kupę lwów, tygrysów, niedźwiedzi, bawołów, krokodyli i innych zwierzaków. Slatin Beeman to *milioner*! Widziałem jego wagon. No i cóż?

– No, w takim razie mój ojciec jest multimilionerem i ma dwa wagony prywatne. Jeden nosi moje imię „Harvey”, a drugi imię

¹² *Zachód* – [tu:] Stany Ameryki Płn., położone na zachód od Missisipi. [przypis redakcyjny]

mojej matki: „Konstancja”.

– Poczekaj chwilę! – przerwał Dan. – Tato nie pozwala mi się zaklinać, ale myślę, że tobie wolno to zrobić. Zanim pogadamy o dalszych sprawach, masz powiedzieć, że... bodajbyś zginął, jeżeli łżesz.

– Tak jest – odpowiedział Harvey.

– To nie wystarczy. Powtórz za mną: „Bodajbym zginął, jeżeli nie mówię prawdy.”

– Bodajbym zginął na miejscu – rzekł Harvey – jeżeli każde słówko, jakie powiedziałem, nie zawiera najszczerzej prawdy.

– Więc naprawdę miałeś przy sobie aż sto trzydzieści cztery dolary? – spytał Dan. – Słyszałem, jakieś o tym mówił... i tylko patrzyłem, czy cię nie połknie jakowaś ryba, jak Jonasza.

Harvey, czerwony na twarzy jak burak, jął¹³ upewniać go o prawdziwości swych słów. Dan był – według własnego rozumienia – przebiegłym młodzieniaszkiem, więc parominutowe badanie przekonało go najzupełniej, że Harvey nie kłamie... przynajmniej nie za wiele. Zresztą tenże Harvey związał się najstraszniejszą przysięgą, na jaką zdobyć się może chłopak w jego wieku – a mimo to żywy i cały, tylko z mocno poczerwienionym nosem, siedział przy burcie, opowiadając różne rzeczy: jedne dziwniejsze od drugich.

– Na Boga! – wyrwało się Danowi z głębi duszy, gdy Harvey wyliczył już cały inwentarz wagonu nazwanego jego imieniem. Uśmiech pełen złośliwej radości rozlał się po szerokiej twarzy

¹³ *jąć* – zacząć. [przypis edytorski]

okrętowego chłopaka.

– Wierzę ci, Harvey. Tato pomylił się po raz pierwszy w swoim życiu.

– Pewnie, że się pomylił! – bąknął Harvey, przemyślając o rychłym odwecie.

– Ale będzie wściekły! Tato nie lubi mylić się w swych sądach. – Dan położył się na wznak i jął klepać się po łydce. – Ach, Harvey'u, tylko się nie wygadaj, bo zepsujesz mi cały figiel.

– Nie pragnę bynajmniej, by mnie znów obito. Ale i tak dam sobie jeszcze z nim radę.

– Nie słyszałem, żeby ktoś dał sobie radę z tatkiem. Ale że wytlukłby cię znowu, to rzecz pewna. Wytlukłby cię tym mocniej, im większa była jego pomyłka. Ale kopalnie złota i pistolety...

– O pistoletach nie mówiłem ni słówka – przerwał mu Harvey pomny przysięgi.

– Prawda! Nie mówiłeś... A więc dwa wagony prywatne, jeden nazwany od ciebie, a drugi od twojej mamy... dwieście dolarów miesięcznie na drobne wydatki... i wyrznął nosem w ziemię... za to, że nie chciał pracować za dziesięć i pół fajgli miesięcznie! To najpyszniejszy połów całego sezonu!

I zatrzęsł się cichutkim chichotem.

– Zatem miałem rację? – zapytał Harvey, mniemając, iż znalazł życzliwą duszę.

– Nie miałeś racji; nie miałeś racji... nic a nic! Radzę ci, trzymaj się ze mną, bo inaczej jeszcze znowu oberwiesz, a

ja też oberwę za to, żem to niby był w spółce z tobą. Tata zawsze wymierza mi karę podwójnie, bo jestem jego synem, a on nie lubi nikomu okazywać szczególnych względów. Zdaje mi się, że się trochę gniewasz na mego tatula. I ja też tak się gniewałem czasami. Jednakże tato jest człowiekiem nadzwyczaj sprawiedliwym; wszystkie maszoperie to potwierdzą.

– Czy to tak wygląda sprawiedliwość? – obruszył się Harvey, wskazując na swój rozbity nos.

– E, to głupstwo! Trochę lądowej juszki pociecze ci w nochala... i koniec. Tato zrobił to dla twego zdrowia. Ale przyznaj sam, że nie mogę zadawać się z człowiekiem, który mnie, tatula albo kogoś z załogi *We're Here* uważa za złodzieja. Nie jesteśmy wcale jakąś tam zwykłą załogą żeglarską, pozbieraną w pierwszym lepszym porcie. Jesteśmy rybakami, a pływamy razem po morzach już sześć lat... może i więcej. Co do tego nie wolno ci się mylić! Powiedziałem ci, że tato nie pozwala mi się zaklinać... nazywa to traceniem słów po próżnicy i okłada mnie za to kułakami... ale jak mógłbym powiedzieć, coś ty gadał o swoim ojcu i jego majątku, tak samo mógłbym ci powiedzieć i o twoich dolarach. Nie wiem wcale, co znajdowało się w twoich kieszeniach, kiedy suszyłem twój przyodziewek, bo do kieszeni nie zaglądałem, ale mogę powiedzieć, używając tego samego zaklęcia, co ty przed chwilą, że ani ja, ani tato, bo prócz nas dwóch nikt nie stykał się z tobą, odkąd wyciągnięto cię na statek, nie widzieliśmy nawet na oczy tych twoich pieniędzy. Tyle mam ci do powiedzenia! No i cóż ty na to?

Widocznie upływ krwi podziałał otrzeźwiająco na mózg Harvey'a, może przyczyniło się do tego i morskie osamotnienie – dość, że chłopak nagle jakby przewidział po długiej ślepotcie.

– Masz zupełną rację – odrzekł, spuszczać oczy w mieszanii. – Zdaje mi się, że jak na człowieka dopiero co uratowanego od zatonięcia nie okazałem się nazbyt wdzięczny!

...

– Ee, co tam! Byłeś po silnym wstrząsie i nie pomyślałeś, co mówisz – rzekł Dan. – Zresztą oprócz mnie i ojca nikt nie widział tej całej awantury przed chwilą. Kucharza można nie brać w rachubę.

– Powiniennem był się domyślić, że pieniądze zginęły – mówił Harvey jakby sam do siebie – a nie nazywać pierwszego napotkanego człowieka złodziejem. Gdzie jest twój ojciec?

– W kajucie. Czegoś chcesz od niego?

– Zaraz się dowiesz – odpowiedział Harvey i zataczając się nieco, gdyż w głowie wciąż jeszcze mu szumiało, podszedł ku stopniom kajuty, gdzie na wprost koła sterowego wisiał mały zegar okrętowy. Troop rozsiadłszy się w izbie wymalowanej na żółto i czekoladowo pisał coś zawzięcie w notatniku, śliniąc od czasu do czasu ogromny czarny ołówek.

– Postąpiłem zupełnie niewłaściwie – przemówił Harvey zdumiony własną potulnością.

– No, cóżeś tam znów zbroił? – burknął szyper. – Pobiteś się z Danem, he?

– Nie, to chodzi o pana.

– Posłucham chętnie.

– Otóż... ja tu... ja tu przyszedłem naprawić całą sprawę

– mówił Harvey bardzo prędko. – Jeżeli ktoś uratowany od zatonięcia... – tu się rozbeczał na dobre.

– Ho, ho! Będą z ciebie jeszcze ludzie, jeżeli tak pójdzie dalej.

– ...nie powinienem był zaraz na początku odpłacać się swym wybawcom obelgami.

– Słusznie i sprawiedliwie... święta racja! – odrzekł Troop, uśmiechając się z lekka.

– Dlatego przyszedłem tu powiedzieć, że żałuję swego postępuku.

I znów rozległo się głośne chlupanie.

Troop podniósł się powoli z kufra, na którym siedział, i wyciągnął dłoń szeroką na jedenaście cali.

– Miarkowałem zawczasu, że ci to napędzi rozumu do głowy, a teraz widzę, żem się nie pomylił w rachubie.

Jakiś przytłumiony chichot dał się słyszeć na pokładzie.

– Trzeba ci wiedzieć, że rzadko mi się zdarza mylić się w rachubie. – Jedenastocalowa dłoń ścisnęła mocno jak w kleszczach rękę Harvey'a zdrętwiałą aż po sam łokieć. – Jeszcze ci tu u nas stwardnieje trochę ta rączka, zanim rozstaniemy się z sobą, mój smyku... Co tam było, to było, ale ja nie mam złego wyobrażenia o tobie! Nie mogłeś odpowiadać za wszystko. Sprawuj dobrze swą robotę, a nikt cię tu nie skrzywdzi.

– Aleś zbielał! – ozwał się Dan, gdy Harvey znalazł się z powrotem na pokładzie.

– Nie czuję tego – odrzekł Harvey zapłoniony aż po koniuszki uszu.

– Nie to miałem na myśli. Słyszałem, co ci gadał tato. Gdy tato oświadczy, że nie ma o kimś złego wyobrażenia, to jakby serce trzymał na dłoni. A przy tym nie lubi się mylić w swych rachubach. Ho, ho! Gdy już tatulo ma o czymś wyobrażenie, to prędzej zostawi Anglikom swoją banderę, niż to odmieni. Cieszę się, że tak się wszystko dobrze skończyło i załagodziło. Tato ma rację, mówiąc, że nie może cię odwieźć. Jedną rzecz mamy tu tylko do roboty... Trudnimy się rybołówstwem. Za jakieś pół godziny nadciągną tu nasi ludzie jak rekiny za zdechłym wielorybem.

– Po co? – zapytał Harvey.

– Na wieczerzę... a cóż by innego? Czy ci jeszcze kiszki marsza nie grają? Kupę rzeczy jeszcze musisz się u nas nauczyć.

– Podobno! – odparł Harvey żałośnie, spoglądając na gmatwaninę lin i takli wiszących nad głową.

– Nasz okręt to cacko! – zawołał Dan z zapalem, opacznie zrozumiawszy to spojrzenie. – Zobaczysz, jak to będzie pięknie, gdy nasz grotzagiel poda się wiatrowi i statek z całym swym ładunkiem ruszy do domu. Ale wpierv trzeba popracować!

I wskazał ciemną czeluść otwartej komory głównej pomiędzy dwoma masztami.

– I na cóż to? Przecież tam nic nie ma – zauważył Harvey.

– Ty i ja, i kilku jeszcze innych, mamy napełnić tę jamę – odrzekł Dan. – Tam właśnie składa się ryby.

– Żywe? – zapytał Harvey.

– Ale gdzie tam. Już zdechłe... i że tak powiem... to jest... nieżywe... spłaszczone... i solone; w komorze leży sto okseftów¹⁴ soli.

– A gdzie są ryby?

– W wodzie ryb mnóstwo... a chude rybobranie!...

– odpowiedział Dan przytaczając przysłowie rybackie. – Wczorajszej nocy wraz z tobą przybyło ich około czterdzieści.

Wskazał na coś w rodzaju drewnianej komory na samym przodzie tylnego pokładu.

– Będziemy musieli obaj nalewać tam wody, gdy oni powrócą. Daj Boże, byśmy dziś mieli pełne komory! Widziałem jak okręt zanurzał się na pół stopy od ciężaru ryb czekających na wypatroszenie, a myśmy stali i stali przy stołach, aż nas nie zaczął taki sen morzyć, że krajaliśmy własne palce zamiast ryb... A jakże! To oni wracają!

I wychyliwszy się za niski parapet zaczął przyglądać się szczęściu łódkom sunącym ku nim po błyszczącej, jedwabistej toni.

– Nigdy nie oglądałem morza z tak bliska – zauważył Harvey.

– Ładnie wygląda!

Zachodzące słońce barwiło cały przestwór morza na paśowo i purpurowo, rzucając złote błyski na pasma długich grzbietów wodnych oraz modre i zielonkawe cienie na utworzone między

¹⁴ okseft – wielka beczka; miara objętości gł. wina, wynosząca 210–250 litrów.
[przypis edytorski]

nimi bruzdy. Każdy z szonerów, jakie było widać tu i ówdzie, zdawał się za pomocą niewidzialnych sznurków przyciągać ku sobie swoje czółna, a siedzące w czólnach czarne figurki wiosłarzy podobne były do małych, nakręcanych pajaców.

– Dopisało im szczęście! – ozwał się Dan, mrużąc powieki. – Manuel już nie ma gdzie ładować ryb. Prawda, jaki on się wydaje maciupęńki na tej morskiej gładzi? Jak liliput!

– Który z nich to Manuel? Nie wiem, jakim sposobem możesz każdego z nich rozpoznać i nazwać.

– W ostatniej łodzi na południe. To on wczoraj wyłowił cię z wody – mówił Dan wskazując palcem. – Ten Manuel wiosłuje po portugalsku... po tym go zawsze można poznać... Na wschód od niego jedzie Pensylwania... do innej roboty wiele zdarniejszy niż do wiosłowania. Wygląda, jakby był napęczniały od drożdży. Na wschód od niego... popatrz no, jak pięknie płyną niby za sznurkiem!... ten taki zgarbiony w łopatkach, to Długi Dzek. Jest to Galwajczyk, zamieszkały w południowym Bostonie, gdzie prawie wszyscy oni zamieszkują... są dobrze obeznani z łodzią. Na północ, na samym końcu, płynie Tomasz Platt... posłyszysz, jak on tu nam coś zaśpiewa. Służył w marynarce wojennej, na starym pancerniku *Ohio*, który, jak powiada, był pierwszym okrętem naszej floty, co objechał przylądek Horn. Ten chłop o niczym innym mówić nie umie, tylko o tym swoim statku... chyba że weźmie się do śpiewania... ale połów zawsze mu się udaje. Oho!... A co? Nie mówiłem?

Z czółna płynącego najdalej na północ popłynęły nad

wodą dźwięki jakiejś pieśni nuconej tubalnym głosem. Harvey wsłuchał się w jej słowa. Mówiła ona o czyichś zastygłych rękach i stopach, następnie zaś można już było wyróżnić słowa:

Wydobądź mapę, posepną mapę,
Spójrz tam, gdzie góry się zbiegły!
Chmury obsiadły gęsto ich czoła,
Mgły ich podnóżne zaległy.

– Łódź pełna! – zauważył Dan, śmiejąc się z cicha. – jeżeli posłyszemy: „o, kapitanie”, znaczy to, że ryb nabrało się po same brzegi.

Śpiew huczał w dalszym ciągu:

A teraz zechciej *o, kapitanie*.
Wysłuchać prośby pokornej:
Niech mnie nie grzebią w szarej wrótni
Kościelnej ani klasztornej!

– Tom Platt ma podwójny połów. Jutro będzie ci opowiadał o starym pancerniku *Ohio*. Widzisz tę niebieską łódkę za nim? To mój stryj... rodzony brat mojego tatula... a jeżeli kto nie ma szczęścia na Ławicach, to będzie nim z pewnością stryj Salters. Przypatrz się, jak słabiuchno wiosłuje. Założę się o mój part i moją płacę, że jest dziś jedynym człowiekiem, którego coś tam pokłuło... i to tego.

– Cóż by go miało kłuć? – zapytał Harvey zaintrygowany tym

niezrozumiałym powiedzeniem.

– Najczęściej *poziomki*. Czasami melony, czasem znów *cytryny i ogórki*. Tak, kłuje go od samych łokci. A teraz bierzmy się do lin, trzeba im je cisnąć do łodzi. Czy to prawda, co opowiadałeś mi niedawno, że przez całe życie ani razu nie przyłożyłeś ręki do żadnej roboty? Chyba cię teraz trochę strach obleciał, co?

– Niech będzie, co chce! Spróbuję wziąć się do pracy – odparł Harvey wyniośle. – Tylko, że to wszystko tak diabelnie nowe dla mnie!

– A więc bierz tę linę. Tę za tobą!

Harvey pochwycił linę i długi żelazny hak, dyndający na jednym ze sztuków grotmasztu, a jednocześnie Dan ją opuszczać drugą linę zbiegającą z windy nazwanej przezeń „pomostową”; tymczasem Manuel podpływał już ku nim na łodzi obciążonej zdobyczą. Portugalczyk rozjaśnił twarz promiennym uśmiechem, z którym Harvey miał później tak dobrze się zaznajomić, i ująwszy w ręce widełki o krótkiej rękojeści zaczął nimi wyrzucać ryby do składowni na pokładzie.

– Dwieście trzydzieści dwie! – zawołał głosem donośnym.

– Podaj mu hak! – ozwał się Dan.

Harvey cisnął narzędzie do rąk Manuela. Ten zaczepił je o pętlę powrózka z przodu łodzi, pochwycił z rąk Dana pęk liny, przytroczył ją do rufy i wdrapał się na pokład szonera.

– Ciągnij! – wrzasnął Dan.

Harvey zaczął ciągnąć i aż się zdumiał, przekonawszy się, z

jaką łatwością łódź szła do góry.

– Stój! Nie na bocianim gnieździe jej miejsce! – zaśmiał się Dan.

Harvey przestał ciągnąć, gdyż łódź wisiała już w powietrzu ponad jego głową.

– Niżej! – krzyknął Dan.

Gdy Harvey nieco opuścił linę, Dan jedną ręką zaczął bujać lekką łódkę, aż osadziła się swobodnie tuż za masztem głównym.

– Gdy puste, to nic nie ważą. Dla pasażera to akurat fatyga... ale trudniej, gdy się tak puścić na morze.

– Aha! – ozwał się Manuel, wyciągając brunatną prawicę. – Już się dobrze czujesz? Wczoraj wieczorem ryby czatowały na ciebie, teraz ty czatujesz na ryby... co-o?... hę?

– Jestem... jestem tak wdzięczny – wyjąkał Harvey i już znowu nieszczęsną dłonią sięgał do kieszeni, ale w czas uprzytomnił sobie, że nie ma pieniędzy i nie może wynagrodzić tego człowieka. Z czasem gdy już lepiej poznał Manuela, sama myśl o pomyłce, jaką mógł wówczas popełnić, powodowała gorące wypieki na twarzy.

– *Mnie* nie ma za co dziękować! – odparł Manuel. – Jakże cię miałem tak zostawić, żebyś dryfował dokoła Ławic? A czyś ty rybak...?

I przeginał się sztywno w biodrach to naprzód, to w tył, uchylając się od oplątujących go lin.

– Nie wyczyściłem dziś łodzi. Zanadto byłem zajęty, tak mi się to wszystko waliło. Danny, mój synusiu, wyczyść mi ją!

Harvey w te pędy ruszył naprzód. Oto przecie mógł czymś przysłużyć się człowiekowi, który uratował mu życie!

Dan rzucił mu szczotkę ryżową, on zaś pochylił się nad czółnem i jął szorować je z błota, wprawdzie niezdarnie, ale z niemałym zasobem dobrej woli.

– Wyjmij podnóżki; one się wsuwają do rowków – upomniał go Dan. – Wyszoruj je i ułóż jak należy. Nigdy nie trzeba rozbijać podnóżka. Może ci się on jeszcze przydać kiedy w potrzebie. A oto Długi Dżek.

Z czółna, które nadpłynęło w tej chwili, posypała się w głąb komory kaskada błyszczących ryb.

– Manuel, chwytaj linę. Ja ustawię stoły. Harvey, wyczyść łódź Manuela. Długi Dżek winduje się na górę.

Harvey oderwawszy na chwilę wzrok od swej roboty, ujrzał tuż ponad głową dno jeszcze jednego czółna.

– Zasuwiają się jak indyjskie skrzynki magiczne... – ozwał się Dan, gdy jedna łódź nasunęła się na drugą.

– Idzie jak kaczątko na wodę – rzekł Długi Dżek, Galwajczyk o szpakowatym zaroście i dużych wargach, pochylając się to w jedną, to w drugą stronę, zupełnie jak poprzednio Manuel. Dysko warknął coś z głębi kajuty w stronę zapadni i słychać było, jak cmokał śliniąc ołówkę:

– Sto śtyrdzieści¹⁵ dziewięć i pół... a bodaj cię, Dysko! – ozwał się Długi Dżek. – Ja tu się na śmierć zamęczam, żeby ci nabić kabzę. Gdyraj se, że się połów nie udał! Portugalczyk w kozi róg

¹⁵ *śtyrdzieści* (gw.) – czterdzieści. [przypis edytorski]

mnie zapędził!

Pac! Nowa łódź przybiła do okrętu i jeszcze obfitsza ulewa ryb spadła do komory.

– Dwieście trzy. Przypatrzcie się no pasażerowi!

Człowiek, który to rzekł, był większy nawet od Galwajczyka, a twarz jego była dziwacznie naznaczona szkarłatną blizną biegnącą na ukos od lewego oka do prawego kącika ust.

Nie wiedząc, czym innym mógłby się zająć, Harvey szorował kolejno każdą łódź – w miarę jak nadchodziły – wyjmował podnóżki i układał je na dnie. Człowiek naznaczony blizną – a był to Tom Platt we własnej osobie – przyglądał mu się krytycznie, po czym odezwał się:

– Dobrze się wziął do rzeczy! Każda robota może być prowadzona na dwa sposoby. Jeden to sposób rybacki... najpierw zebrać wszystkie końce, a dopiero potem zadzierzgnąć silny węzeł... drugi zaś sposób...

– ...ten, jakiego używaliśmy na starym *Ohio*! – przerwał mu Dan, który właśnie w tej chwili, dźwigając wspartą na udach deskę, wpadł między stojących. – Usuń się, bo chcę ustawić stoły.

Wcisnął jeden bok deski w dwa wręby, wyrzucił naprzód nogę i przykucnął, uchylając się w samą porę przed zamaszystym ciosem z ręki byłego marynarza.

– Tak i tak też robili na starym *Ohio*, Danny! Zrozumiane? – odparł Tom Platt, śmiejąc się.

– Wobec tego chyba tam wszyscy byli zezowaci, bo nigdy nie umieli trafić do celu... a wiem, kto znajdzie swe buciory na

wierzchołku masztu, jeżeli nie zostawi nas w spokoju. A teraz nie przeszkadzać, bo zaczynamy! Nie widzisz, że mam robotę?

– Ej, Danny, wylegujesz się na zwojach sznurów i wysypiasz przez cały dzień – rzekł na to Długi Dzek. – Przechwalasz się i brykasz do niemożliwości, a daję głowę, że w ciągu tygodnia zmarnujesz nam cały ładunek.

– Jemu na imię Harvey – ozwał się Dan wymachując dwoma nożami o dziwacznych kształtach – a ino patrzeć, jak w kozi róg zapędzi pięciu południowobostońskich poławiaczy mięczaków!

To rzekłszy, ułożył noże zgrabnie na stole, zadarł czupurnie głowę do góry i puszył się wywołanym wrażeniem.

– Ja myślę, że czterdzieści dwie – rozległ się cienki głosik spoza burty. W chwilę później zahuczała istna nawałnica śmiechu, gdy inny głos odpowiedział:

– Więc *nareszcie* raz dopisało mi szczęście, bo mam *śtyrdzieści*¹⁶ pięć, chociaż kłuje mnie *cosik*¹⁷ ponad wszelkie pojęcie.

– Czterdzieści dwa czy czterdzieści pięć... Straciłem rachubę – odpowiedział piskliwy głosik.

– To Penn i stryj Salters obliczają połów. Co dzień mamy taką hecę – mówił Dan. – A przyjrzyj się im!

– Właźcie już... właźcie! – huknął Długi Dzek. – Mokro na dworze, dziatki!

¹⁶ *śtyrdzieści* (gw.) – czterdzieści. [przypis edytorski]

¹⁷ *cosik* (gw.) – coś. [przypis edytorski]

– Czterdzieści dwie, sameś gadał¹⁸! – odpowiedział potulnie drugi głos.

Oba czołna zakołysały się jednocześnie i uderzyły o bok szonera.

– O święta cierpliwości! – burknął stryj Salters, z pluskiem odbijając łódkę. – Co opętało takiego hreczkosieja jak ty, żeby wdepnąć do łodzi, która najeżdża na mnie. O mało co nie pogruchotałeś mi łodzi!

– Bardzo przepraszam, panie Salters. Na morze wybrałem się ze względu na nerwową niedyspozycję. Zdaje mi się, żeś to ty mnie namówił.

– Bodajby wieloryb połknął cię wraz z tą nerwową niedyspozycją! – darł się stryj Salters, tłusty i krępy człeczyna. – Znowu najechałeś na mnie! A więc, co mówiłeś, czterdzieści dwa czy czterdzieści pięć?

– Porachujemy jeszcze raz.

– Nie wiem, jakim sposobem mogło być czterdzieści pięć. To ja mam czterdzieści pięć! – upierał się stryj Salters. – Kiepsko liczysz, Penn!

Z kajuty wyszedł Disko Troop.

– Salters, ładujże prędeej! – ozwał się tonem rozkazującym.

– Nie psuj połowu, tato! – mruknął Dan. – Ci dwaj dopiero zaczęli łowić.

– Matko Przenajświętsza! Toż on nabija jedną po drugiej! –

¹⁸ *sameś gadał* – konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: sam gadałeś. [przypis edytorski]

ryknął Długi Dżek.

Tymczasem człowieczek w drugim czólnie przeliczał kreski na krawędzi burty.

– Taki był połów zeszłego tygodnia! – ozwał się, spoglądając żałośnie w górę i trzymając średni palec w tym miejscu, gdzie przerwał liczenie.

Manuel z lekka szturchnął Dana; ten skoczył ku linom i wychylając się daleko za burłę, zaczepił hak o pętlicę na rufie, jednocześnie zaś Manuel uwiązał czólna od przodu. Reszta poczęła ciągnąć zwinnie – i wyciągnęli do góry łódź wraz z wioślarzem, rybami i resztą przynależności.

– Jedna, dwie, trzy, cztery... dziewięć – mrucał Tom Platt biegnącym okiem przeliczając zdobycz. – Czterdzieści siedem. Penn, toś ty tego dokazał!

Dan pociągnął za takiel tylny, opuszczając łódkę wraz z rybakim z rufy na pokład środkowy, pomiędzy strugę nałapanych przezeń ryb.

– Stój! – wrzasnął stryj Salters dyndając. – Stać! Pomyliłem się krzynkę w rachonkach¹⁹.

Nie starczyło mu czasu na sprzeciwy, gdyż już go uniesiono na wysokość skrętu i postąpiono z nim tak jak z Pensylwanią.

– Czterdzieści jeden – rzekł Tom Platt. – Hreczkosiej cię pobił, Salters. I to z ciebie taki marynarz!

– Niepiękny to był rachonek! – odgryzł się Salters gramoląc się z komory – a mnie cosik pokłuło i pocięło na kawałki.

¹⁹ *rachonkach* (gw.) – rachunkach. [przypis edytorski]

Grubaśne jego ręce były obrzękłe i nakrapiane w białe i szkarłatne cętki.

– Coś mi się widzi – mówił Dan, zwracając się w stronę dopiero co weszłego księżycy – że niektórzy ludziska znajdują pole poziomkowe, jeżeli dadzą za nim nurka.

– A inni – odciął się Salters – w ciągłym próżniactwie obzerają się i wyśmiewają z najbliższych krewniaków.

– Siadajcie! Siadajcie! – zawołał z przedniego kasztelu głos, którego Harvey dotąd nie słyszał. Na dźwięk tych słów Disko Troop, Tom Platt, Długi Dzek i Salters ruszyli naprzód. Mały Penn pochylił się nad czworoboczną szpulą, jakiej używają na głębokich morzach, i poplątanymi linkami do łowienia dorszów. Manuel położył się jak długi na pokładzie, zaś Dann zszedł do komory, skąd niebawem doszło do uszu Harvey'a głośne uderzenie młotkiem w beczki.

– Sól – rzekł powracając. – Jak tylko skończymy wieczerzę, rozpocznie się oprawianie ryb. Ty staniesz po stronie taty. Tom Platt i tato razem siadają do wieczerzy i usłyszysz, jak się będą kłócić. My jesteśmy drugą zmianą.... ty i ja, i Manuel, i Penn... sama młodość i uroda.

– I cóż mi z tego przyjdzie? – zapytał Harvey. – Jestem głodny.

– W minutkę tu będą. Miło dziś pachnie na okręcie. Tata wziął dobrego kucharza... byle ten tylko dogodził jego bratu! Ładny mamy dziś połów, co? – tu wskazał na komory zawalone sztokfiszami. – Jaką mieliście wodę, Manuelu?

– Dwadzieścia pięć sążni – odpowiedział sennie Portugalczyk.

– Biorą dobrze i prędko. Któregoś dnia pokażę ci to.

Księżyc rozpoczął swą wędrówkę po cichej toni morskiej, zanim starszyzna poszła na tył okrętu. Kucharz nie potrzebował przywoływać „drugiej zmiany”. Dan i Manuel znaleźli się pod zapadnią i przy stole, zanim Tom Platt, ostatni i najbardziej rozważny ze starszyzny, skończył wycierać sobie usta grzbietem ręki. Harvey poszedł za Pennem i usiadł przed cynową miską, wypełnioną dziwnie przyrządzoną rybą, okładaną skrawkami wieprzowiny i smażonymi ziemniakami, przed bochenkiem świeżo upieczonego chleba i blaszanką czarnej, mocnej kawy. Choć byli setnie wygłodzeni, jednakże czekali, póki Pensylwania nie odmówił uroczystej modlitwy o błogosławieństwo dla tych darów bożych, po czym w milczeniu prędko spożywali stawę, aż na koniec Dan, odsapnąwszy, odłożył od ust cynowy kubek i zapytał Harvey'a, jak się czuje.

– Doskonale, ale jeszcze by zdało się coś przekąsić.

Kucharzem był rosły Murzyn, czarny jak smoła, zgoła nie przypominający Harvey'owi Murzynów spotykanych dotychczas, gdyż nie odzywał się ani słowem, poprzestając na uśmiechach i niemych gestach zapraszających do dalszego jedzenia.

– Widzisz, Harvey'u – mówił Dan bębniąc widelcem po stole – że jest tak, jak powiedziałem. Młodzi i przystojni ludzie, tacy jak ja, Penn, ty i Manuel, stanowią „drugą zmianę”; do jadła zasiadamy dopiero wtedy, gdy pierwsza już się uwinie z

wieczera. Ale tamci to stare i grube ryby... ludzie gruboskórni, więc też przychodzą do stołu pierwsi, choć na to nie zasługują. Czy nie tak, doktorze?

Kucharz kiwnął głową.

– Czy on nie umie mówić? – zapytał Harvey szeptem.

– Umie tyle, żeby się jako tako zgadać z ludźmi... ale, o ile nam wiadomo, nie bardzo jest w gębie tęgi... Jego naturalna mowa jest dość cudaczna. Pochodzi on z głębi Cape Breton, gdzie farmerzy mówią swoją własną szkocką gwarą. Cape Breton roi się od Murzynów, którzy tam zbiegli podczas wojny, a wszyscy mówią tak jak farmerzy... jakoś tak sapiąco i sepleniąco.

– To nie gwara szkocka – poprawił Pennsylvanias – ale galicka. Czytałem w jakiejś książce.

– Penn dużo czyta. Prawie wszystko, co mówi, wziął z książek... chyba że chodzi o liczenie ryb... co?

– Czy twój ojciec poprzestaje tylko na tym, co oni mówią o liczbie złowionych ryb i sam nie sprawdza rachunku? – zapytał Harvey.

– A jakżeby inaczej? Cóż kto na tym zyska, że nas oszuka o tych kilka starych sztokfiszów?

– Był raz człowiek, co kłamał, gdy szło o wielkość połowu – wtrącił Manuel. – Kłamał dzień w dzień. Podawał o pięć, dziesięć, dwadzieścia pięć ryb więcej, niż było naprawdę.

– Gdzie to było? – spytał Dan. – Chyba nie między nami.

– Był to Farnucz z Anguille.

– Aha! Te Francuzy z Zachodniego Brzegu nie umieją liczyć nic a nic. Wiadoma rzecz, że liczyć nie umieją. Jeżeli przejedziesz choć raz po jednym z ich miękkich haczyków, będziesz wiedział, Harvey'u, czemu to przypisać – mówił Dan z niepomierną wzdrganą.

Gdy przyjdzie nam patroszyć ryby,
Nikommu pracy nie brak bez ochyby²⁰!...

– ryknął przez luk Długi Dzek, a „druga zmiana” jak gdyby na komendę jęła się gramolić na górę.

Cienie masztów i olinowania wraz z nigdy niezwijanym żaglem wielkim przesuwwały się to w tę, to w tamtą stronę po chybocącym się pokładzie, zalanym poświatą księżycową, a stos ryb koło rufy połyskiwał niby bryła płynnego srebra. W składowni, gdzie Disko Troop i Tom Platt się krzatali, słychać było szuranie i tupotanie. Dan podał Harvey'owi widły i zaprowadził go na zwrócony ku środkowi okrętu koniec nieheblowanego stołu, przy którym stał już stryj Salters, postukując niecierpliwie trzonkiem noża; u jego nóg stała kadź ze słoną wodą.

– Będziesz się trzymał koło taty i Toma Platta pod zapadnią, a miej się na baczności, ażeby stryj Salters nie wybił ci oka – rzekł Dan, wskakując z rozmachem do składowni. – Ja będę podawał sól tam z dołu.

²⁰ bez ochyby (daw.) – niechybnie, niewątpliwie. [przypis edytorski]

Penn i Manuel stali w składowni zanurzeni po kolana w stercie dorszów i wywijali wyostrzonymi świeżo nożami. Długi Dżek mając przy nogach koszyk, a na rękach rękawice, stał za stołem, twarzą w stronę stryja Saltersa. Harvey wpatrzył się w ostrze widełek.

– Hej! – krzyknął Manuel, pochylając się nad rybami. Podniósł w górę jedną z nich, trzymając ją jednym palcem poniżej tchawicy, a drugim za oko; mignęło ostrze noża, rozległ się chrzęst... i ryba, rozplątana od gardzieli po brzuch, nacięta po obu stronach szyi upadła pod stopy Długiego Dżeka.

– Hej! – ozwał się Długi Dżek, machając dłonią niby szuflą. Wątroba dorsza plasnęła w koszyk. Jeden skręt i jedno machnięcie – odleciała głowa i bebechy, a wypatroszona ryba przeszła do stryja Saltersa, który parsknął zajadle. Znowu rozległ się chrzęst rozdierania, kręgosłup pofrunął za burtę, a ryba, wyczyszczona, chlupnęła na dno kadzi, rozbryzgując słoną wodę prosto w usta zdumionego Harvey'a. Po pierwszym okrzyku ludzie ucichli jak trusie. Dorsze jeden po drugim poruszały się jak żywe, a zanim Harvey przestał się dziwić cudownej wprost zręczności, z jaką wykonywano całą robotę, jego kadź była już pełna.

– Bierz na widły! – mruknął stryj Salters nie odwracając głowy. Harvey jął brać na widły po dwie lub trzy ryby i zrzucić je pod zapadnię.

– Hej! Bierz kupą! – krzyknął Dan. – Nie rozsypuj! Stryj Salters jest najlepszym płataczem w całej maszoperii! Przypatrz

no się, jak medytuje nad swą książką.

Istotnie, wyglądało to, jak gdyby pucołowaty stryjasek rozcinał równomiernie stronicę miesięcznika. Ciało Manuela, skurczone powyżej lędźwi, znieruchomiało niby posąg, ale jego długie ręce bez przerwy zgarniały rybę. Mały Penn uwijał się zawzięcie, ale łatwo było poznać, że sił mu brakło. Manuel kilkakrotnie znalazł czas, by mu pomagać, nie przerywając łańcucha prac, przy czym raz zawył boleśnie, przebiwszy sobie palec haczykiem francuskim. Haczyki te bywają sporządzone z miękkiego metalu, tak iż zaginają się po zaczepieniu się o wnętrze ryby; jednakże często się zdarza, że dorsze uchodzą wraz z nimi i dają się znów złapać gdzie indziej, a jest to jeden z wielu powodów, że statki gloucesterskie mają w pogardzie Francuzów.

W dole niby chrobotanie mielących żaren rozbrzmiewał zgrzytliwy odgłos soli, ocierającej się o surowe mięso – wtórując szczękowi noży w składowni i pluskotaniu ukręcanych łbów, strącanych wątrób i fruujących wnętrzności, ciągłemu zgrzytowi noża w rękach stryja Saltersa wypruwającego ości; a wreszcie chlupotaniu mokrych, rozplątanych rybich tusz.

Po godzinie takiej pracy Harvey gotów był oddać świat cały za chwilę wypoczynku. Świeże, mokre jeszcze dorsze waży więcej, niż by się zdawać mogło, więc chłopaka bolały krzyże od ciągłego machania widłami. Jednakowoż po raz pierwszy w życiu miał świadomość, że był jednym z roboczej, pracowitej drużyny; na tę myśl rósł w dumę i pracował jak mruk, bezsłownie, cicho,

nieustępliwie.

– Nóż – hej! – wrzasnął na koniec stryj Salters. Penn urósł w dwójnasób, ciężko dysząc pośród ryb, Manuel jął się przeginać to w tył, to naprzód, ażeby znów nabrać sprężystości, a Długi Dzek oparł się o burzę. Kucharz pojawił się znowu, bezszelestnie jak czarne widmo, zgarnął całą kupę łbów i ości – i odszedł z powrotem.

– Okrawki na śniadanie i galareta z rybiej głowizny – ozwał się Długi Dzek, oblizując wargi.

– Nóż – hej! – powtórzył stryj Salters, wymachując płaskim, zakrzywionym majchrem, służącym do oprawiania ryb.

– Uważaj na nogę, Harvey! – krzyknął Dan z dołu.

Harvey zobaczył pół tuzina noży tkwiących w poprzecznej belce koło wrót składowni. Obejrzał je dokładnie, odkładając te, które stępiały.

– Wody! – zawołał Disko Troop.

– Beczka z wodą jest na przodzie okrętu, a czerpak zaraz koło niej. Dalej, Harvey'u! – rzekł Dan.

Za minutę Harvey był już z powrotem, niosąc olbrzymi czerpak, pełen wody, która wprawdzie była przytęchła i niezbyt czysta, jednakże miała smak nektaru, a przy tym rozwiązała język Diskowi i Tomowi Plattowi.

– To dorsze – prawil Disko – dorsze, nie żadne damarskie figi, Tomie Platt, ani też bryły srebra. Mówiłem ci to za każdym razem, gdyśmy razem żeglowali.

– Toż dopiero siódmy raz, jak z sobą razem pływamy –

odparł chłodno Tom Platt. – Dobry ładunek zawsze jest dobrym ładunkiem, a może być zły lub dobry sposób ładowania choćby nawet takiego balastu. Gdybyś tak kiedy widział czterysta ton żelaza naładowanych na...

– Hej! – rozległ się przeraźliwy krzyk Manuela. Było to hasło podjęcia roboty. Pracowano zawzięcie, bez przerwy, dopóki nie opróżniono całej składowni. Gdy już zrzucano na dół ostatnią rybę, Disko Troop wraz z bratem zatoczył się do kajuty na rufie, Manuel i Długi Dżek podążyli na przód okrętu, a jedynie Tom Platt przeczekał sporą chwilę, po czym zasunął pokrywę luku i również zniknął. W pół minuty później Harvey posłyszał gromkie chrapania w kajucie. Tępym wzrokiem wpatrzył się w Dana i Penna.

– Czuję się już troszkę lepiej, Danny – ozwał się Penn, któremu porządnie ciążyły powieki snem zmorzone. – Ale sędzę, że powinienem pomóc w sprzątaniu.

– Poszedłbyś spać, Penn! – rzekł Dan. – Nie masz powołania do spełniania obowiązków chłopca okrętowego. Przynieś no wiadro, Harvey'u. Aha! Penn! Zanim pójdziesz lulu, rzuć to wszystko do beczki. Czy wytrzymasz jeszcze bez snu tę chwilę?

Penn podniósł ciężki kosz rybich wątróbek i wysypał całą jego zawartość do beczki z ruchomą pokrywą, przytroczonej do kasztelu przedniego, po czym i on zniknął z pokładu, zapadłszy w głąb kajuty.

– Chłopcy okrętowi zawsze sprzątaję po patroszeniu ryb, a chłopak też pełni pierwszą wachtę na *We're Here* podczas ciszy

morskiej – objaśnił Dan, po czym jął z rozmachem szorować stół, postawił blat na sztorc, by go osuszyć, garścią pakuł wytarł zakrwawione noże i począł je ostrzyć na niewielkim toczydle. Tymczasem Harvey, stosownie do jego zlecenia, zajął się wyrzucaniem rybich wnętrzności i kości za burtę okrętu.

Za pierwszym pluśnięciem wynurzyło się z mazistej wody jakieś srebrno-białe zjawisko i wydało dziwnie świszczące westchnienie. Harvey krzyknął na całe gardło i cofnął się z przerażeniem, ale Dan tylko się roześmiał.

– To kaszalot – wyjaśnił – żebrze o łby rybie. Te bestie tak się wspinają w górę, gdy są głodne. Ale cuchnie od niego jak z grobu... co?

Okropny zaduch gnijącej ryby napełnił powietrze wraz ze słupem białego oparu, a woda bulgotała jakimś rozmazanym głosem.

– Więc nigdy dotąd nie widziałeś kaszalota? Myśmy ich tu widywali całe setki, zanim się do nas dostałeś... Ale wiesz co? Dobrze, że mamy znowu chłopaka! Otto był za stary, a do tego Holender. Nieraz żeśmy porządnie poprztykali się ze sobą... a ustrzegłby się tego, gdyby miał w gębie jakiś ludzki język. Co? Jesteś śpiący?

– Tak! Spać mi się chce piekielnie! – odrzekł Harvey, kiwając się ciałem w przód.

– Na wachcie spać nie wolno. Wstań i przypatrz się, czy świeci światło na kotwicy. Teraz twoja kolej, Harve.

– Phi! Cóż złego może się nam przytrafić? Jasno jak w dzień!

– Różnie się może zdarzyć. Zaśniesz sobie przy pięknej pogodzie i zanim się spostrzeżesz, już cię może pięknie w pół przeciąć liniowiec, a siedemnastu oficerów (wszystko wielkie pany z grosiwem w kieszeni) gotowi będą poręczyć słowem, że twoje światło zgasło i że była gęsta mgła! Wiesz, Harve, polubiłem cię bardzo, ale jeżeli jeszcze raz mi się kiwniesz, to zdziele cię pletnią.

Księżyc, który widuje przeróżne dziwy, spoglądał z góry na szczupłego młodzieniaszka w sportowych pluderkach²¹ i czerwonym kubraku, włóczącego się chwiejnym krokiem po rozklekotanych pokładach siedemdziesięcotonowego szonera, gdy poza plecami tegoż młodzieniaszka podążał niby oprawca drugi chłopak poziewający i kiwający się w przerwach pomiędzy wymierzanymi przez siebie ciosami.

Uwiązane koło sterowe pojękiwało i postukiwało z lekka, żagiel koronny z cicha łopotał pod zmiennym tchnieniem wiatru, winda skrzypiała posepnie... a żaloszny pochód na pokładzie ciągnął się bez końca. Harvey prosił, wyrzekał, groził, a w końcu popłakiwał otwarcie, ale nieubłagany Dan, choć mu język zdrętwiał do reszty, wygłaszał bez przerwy kazanie o potrzebie czujności i chlastał przed siebie harapem, chłoszcząc równie często czołna jak i Harvey'a – jeżeli udało mu się go trafić. W końcu zegar w kajucie wybił dziesiątą – a za dziesiątym uderzeniem Penn wygramolił się na pokład. Znalazł obu chłopców skulonych – jednego przy drugim – koło

²¹ *pluderki* – zdrobn. od: *pludry*; spodnie. [przypis edytorski]

głównego luku i tak głęboko uśpionych, że musiał pozanosić ich własnoręcznie na prycze.

Rozdział III

Był to sen głęboki – czterdziestosątniowy – taki, co to oczyszcza duszę, wzrok i serce, i daje człowiekowi wielki apetyt przy śniadaniu. Zbudzeni z niego, Dan i Harvey, wypróżnili do cna wielki cynowy półmisek, pełny soczystych resztek ryby – owych krwawych okrawków, które poprzedniego wieczora zebrał kucharz. Dokumentnie wyczyścili talerze i rondelki starszych biesiadników od dawna już zajętych połowem, pokrajali cieniuchno wieprzowinę do obiadu, wyszorowali pokład, podolewali nafty do lamp, nanieśli węgla i wody kucharzowi i przetrząsnęli szafarnię, gdzie znajdowały się zapasy okrętowe. Dzień był przepyszny – łagodny, jasny i miły, a Harvey oddychał pełną piersią.

W ciągu nocy ubiegłej nadciągnęło jeszcze parę innych szonerów; długi przestwór modrych wód roił się od żagli i czółen rybackich. Gdzieś daleko na widnokregu jasny błękit nieba przyćmiewała smuga dymu, płynąca z niewidzialnego liniowca; na wschód od niego wyłamywała się w widnokregu prostokątna szczerba – były to wzdymające się właśnie topzagle jakiegoś wielkiego okrętu. Dysko Troop, ćmiąc tytoń, stał przy podbitce kabiny – jednym okiem rozglądał się po statku, a drugim obserwował małą chorągiewkę na głowicy grotmasztu.

– Gdy tato tak się zaduma – mówił Dan szeptem – to znak, że obmyśla coś ważnego dla całej załogi. Założę się o całą płacę

i cały part, że wkrótce będziemy jak u Pana Boga za piecem. Tato zna się na dorszach... i wszystkie maszoperie o tym wiedzą. Przypatrz no się, jak tam statki nadciągają jeden za drugim... Tam oto jest *Prince Leboo*... bat z Chat-ham. Wylazł tu ostatniej nocy. A widzisz ten wielgaśny okręt z cętką na fokzagli i nowym klinem? To *Carrie Pitman* z West Chat-ham... nie poniesie ci długo swych paruchów, chyba że mu się szczęście odmieniło od zeszłego lata! Na niewiele go stać, co najwyżej na dryfowanie! Nie ma takiej kotwicy, która by zdołała go utrzymać... Gdy dym fajki układa się w takie kółeczka, znaczy to, że tato myśli o rybach. Gdybyśmy teraz przemówili do niego, wściekłby się ze złości. Ostatnim razem, kiedy się do niego odezwałem nie w porę, cisnął we mnie butem.

Disko Troop, przygryzłszy fajkę zębami, patrzył przed siebie znieruchomiałymi oczyma, które jakoby nie widziały, co się święci. Zgodnie z tym, co mówił o nim syn, myślał o połowie, stawiając swą wiedzę i doświadczenie zebrane na Rewach, w zawody przeciwko dorszom wędrującym we własnym morzu. Obecność natrętnych, wścibskich szonerów na widnokregu poczytywał za komplement dla swoich zdolności. Jednakże skoro go tym komplementem już obdarzono, pragnął dać drapak a i osiąść na kotwicy gdzieś z dala od ludzi, póki nie nadejdzie pora, gdy będzie mógł wrócić i uprawiać połów na ulicach zgiełkliwego miasta nad wodami. Toteż Disko Troop rozmyślał o pogodzie dni ostatnich, o burzach, prądach, dostawach żywności i innych wydarzeniach – zawsze z punktu widzenia

dwudziestofuntowego sztokfiszca; w takich razach sam bodaj na godzinę stawał się dorszem i nawet robił się uderzająco podobny do tej ryby.

Nagle wyjął fajkę z zębów.

– Tatulo – ozwał się Dan – już ukończyliśmy sprzątanie. Czy moglibyśmy trochę popływać po morzu? Dziś dobra pogoda na połów.

– Tylko nie w tym wiśniowym przyodziewku ani w tych brązowych przypalanych bucikach. Dajże mu jakieś bardziej odpowiednie ubranie.

– Tato zadowolony... dlatego nam się udało – rzekł Dan z radością, wciągając Harvey'a do kajuty, gdy Troop zrzucił jakiś klucz ze schodów. – Tata chowa moje zapasowe ubranie, bo mówi, że jestem niedbały.

Pogmerał w komodzie i w ciągu niespełna trzech minut Harvey był już przystrojony w długie, nieprzemakalne, zachodzące mu do połowy uda buty rybackie, w ciężki błękitny spencer wełniany, dobrze wycerowany na łokciach, w parę majtadrałów i kapelusz „zydweste”.

– Teraz to przynajmniej wyglądasz na człowieka – zauważył Dan. – Śpiesz się!

– Trzymajcie się tu blisko, pod ręką – przykazał Troop – i nie zadawajcie się z nikim. Jeżeli was kto zapyta, co teraz planuję, powiedzcie, że nic nie wiecie.

Przy rufie szonera było przywiązane małe czerwone czółno z napisem „*Hattie S.*”. Dan spuścił linkę holowniczą i zsunął się na

dno łódki, za nim zaś niezgrabnie potoczył się Harvey.

– Tak to się nie schodzi do łódki – upomniął go Dan. – Gdyby to było na pełnym morzu, poszedłbyś pewno na dno. Musisz się nauczyć włożenia do niej.

To rzekłszy umocował kołeczki dulek, zajął przednią ławę i przyglądał się robocie Harvey'a. Chłopak kiedyś ćwiczył się w wiosłowaniu na stawach Adirondackich. Jest jednak pewna różnica między lekkimi łodziami sportowymi a ciężkimi, krępyimi, na osiemnaście stóp długimi czółnami – pomiędzy kołkami skrzypiących dulek a równo chodzącymi, dopasowanymi do uchwytów obrączkami. Pruli spokojną gładź, a Harvey wciąż postękiwał.

– Nie tak gwałtownie! Wiosłuj spokojniej! – ostrzegął go Dan. – Jak ci się tak wykręci wiosło na rozbujanym morzu, to na pewno wywalisz łódkę... Ale prawda, że łódka jest świetna... co?... moja!...

Łódka była nienagannie czysta. Na jej przodzie znajdowała się maluchna kotwiczka i dwa kubły z wodą. Cynowa trąbka obiadowa spoczywała w kojczyku tuż pod prawą ręką Harvey'a, obok jakiegoś brzydkiego tłuczka, krótkiego harpuna i jeszcze krótszego drewnianego kijka. Pęk lin opatrzonych nader ciężkimi ołowiankami i podwójnymi haczykami, jakich używa się do połowu dorszy, tkwił na właściwym swym miejscu koło klamburty.

– A gdzie maszt i żagiel? – zagadnął Harvey, bo dłonie zaczęły mu już okrywać się bąblami.

Dan zachichotał.

– Nieczęsto będziesz żeglował na rybackich łodziach. Trzeba wiosłować... ale nie potrzebujesz tak się wysilać przy wiosłowaniu. Chciałbyś mieć taką łódkę na własność?

– No, no! Zdaje mi się, że ojciec dałby mi nie jedną, ale dwie takie łódki, gdybym go o to poprosił – odpowiedział Harvey. Dotychczas nazbyt był zajęty, by wiele czasu poświęcać myślom o rodzinie.

– Pewnie że tak. Twój tato jest milionerem. Teraz to nawet nie wyglądasz na milionera. Ale łódka i statek, i oporządzenie – mówił Dan, jak gdyby co najmniej był właścicielem wielorybnika – kosztują masę pieniędzy. Czy myślisz, że twój tato dałby ci taką łódkę dla... dla twojej zabawy?

– Nic by w tym nie było dziwnego. Byłaby to bodaj że jedyna rzecz, której dotychczas jeszcze nie zdołałem od niego wyprosić.

– Musiał być z ciebie w domu wielki rozrzutnik. Nie szarp tak wiosłem, Harve! Bierz krócej, bo morze nigdy nie jest do cna spokojne, a te ruchy mogą...

Trrach! Gryf wiosła uderzył Harvey'a w podbródek i przewrócił go na wznak.

– To właśnie chciałem ci powiedzieć. Ja też musiałem się wszystkiego uczyć, ale miałem nie więcej jak osiem lat, gdy rozpocząłem tę „szkołę”.

Harvey z obolałą szczęką i zmarszczonym czołem usiadł znów na dawnym miejscu.

– Nic z tego nie przyjdzie, że będziemy się złościć, powiada

tato, bo (jak powiada), to tylko nasza wina, że sobie nie możemy dać rady. Spróbujmy tutaj. Manuel poda nam głębokość.

Portugalczyk chybotął się w łódce o milę od nich, ale kiedy Dan podniósł w górę koniec wiosła, natychmiast dał trzykrotny znak lewą ręką.

– Trzydzieści sażni – rzekł Dan, uczepiając do haka kawałek solonego mięsa. – Dalej w morze te placki! Zakładaj przynętę tak jak ja, Harvey'u, tylko nie rób wielkiego hałasu swym zwijadłem.

Dan już dawno rozwinął linę, zanim Harvey opanował tajemnicę zakładania przynęty i wyrzucania ołowianek. Łódka płynęła swobodnie z prądem. Nie warto było zarzucać kotwicy, póki nie byli całkiem pewni dobrego gruntu.

– Mamy go! – wrzasnął Dan; rześisty deszcz wodnych rozbryzgów zachrząścił na plecach Harvey'a, a wielki dorsz zaczął rzucać się i trzepotać tuż koło niego. – Dawaj klipę, Harvey'u, klipę! Masz ją pod ręką! Prędeż!

Klipą oczywiście nie mogła być trąbka obiadowa, przeto Harvey podał mu tłuczek. Dan umiejętnie ogłuszył rybę, zanim wciągnął ją do wnętrza łodzi, po czym z pyska ryby wykręcił hak, posługując się krótkim drewnianym kijkiem, który nazywał „pędzelkiem do gardła”. Wtem Harvey poczuł szarpnięcie, więc z całą gorliwością jął ciągnąć sznur w górę.

– Ależ to poziomki! – krzyknął. – Przypatrz no się!

Haczyk istotnie uwikłał się w kępie poziomek czerwonych po jednej stronie, a białych po drugiej – doskonale naśladowujących jagodę leśną, z tą tylko różnicą, że nie miały listków, a łodygi ich

były wewnątrz puste, a z wierzchu ośliźle.

– Nie dotykaj! Wyrzuć je! Nie...

Ostrzeżenie przyszło za późno. Harvey już zerwał je z haka i przyglądał im się z podziwem.

– U-uch! – krzyknął i wstrząsnął palcami, jak gdyby pochwycił w rękę całą garść pokrzyw.

– Teraz już chyba wiesz, co oznacza „pole poziomkowe”. Tato powiada, że gołą ręką nie należy tykać niczego oprócz ryb. Wyrzuć je za burtę i załóż znów przynętę, Harve. Z gapienia się po próżnicy nikomu jeszcze nic nie przyszło. Tu każda chwila to pieniądz!

Harvey uśmiechnął się na myśl o dolarach, jakie miał otrzymywać miesięcznie, i starał się odgadnąć, co powiedziałyby jego matka, gdyby go tu zobaczyła wychylającego się przez krawędź łódki rybackiej pośrodku oceanu. Wszak cierpiała niewysłowione męki, ilekroć on – jej synek – wybrał się na przejażdżkę po jeziorze Saranaz... a i to Harvey dobrze pamiętał, że miał zwyczaj wyśmiewać się z jej niepokojów. Naraz – ni stąd ni zowąd – lina prześliznęła mu się w dłoni, obcierając skórę nawet pomimo „mitenek”, czyli wełnianych ochraniaczy na rękach.

– To ci wielki kloc! Ustąp mu miejsca, bo widzisz, jaki z niego siłacz! – krzyczał Dan. – Ja ci pomogę!

– Nie, nie pomagaj – fuknął Harvey, całą siłą uczepiwszy się liny. – To moja pierwsza ryba. Czy... czy to wieloryb?

– Może płastuga!?

Dan wlepił oczy w wodę i podniósł wielką „kliję”, gotów na wszystko, cokolwiek by się zdarzyło. Coś białego i owalnego zamigotało i zatrzepotało się wśród zieleni wód.

– Założę się o cały part i płacę, że ta bestia waży z górą sto funtów. Czy nadal jeszcze upierasz się, żeby ją wyciągnąć w pojedynkę?

Harvey'owi ścierpły przeguby rąk oparte o klamburkę – już nawet poczęły krwawić; twarz to czerwieniała, to siniąła na przemian z podniecenia i wyczerpania; ociekał potem i był na poły oślepy od wpatrywania się w odbłaski słoneczne, rozbiegające się wokół szybko poruszającej się linki. Chłopcy zmęczyli się o wiele wcześniej niż płastuga, która przez jakieś dwadzieścia minut miała przewagę nad nimi i łódką. W końcu jednak udało się ugodzić ościeniem i wyłowić wielką, płaską rybę.

– Poszcęściło ci się nieźle – przyznał Dan, ocierając czoło.
– Waży przeszło sto funtów.

Harvey z niewymowną dumą spoglądał na ogromną, szaro nakrapianą bestię. Nieraz widywał płastugi na marmurowych ladach sklepowych, jednakże nigdy nie przyszło mu na myśl zapytać, jak się dostały w głąb łądu. Teraz już wiedział... i każde ścięgno w jego ciele było obolałe od zmęczenia.

– Gdyby tato był z nami – mówił Dan, ciągnąc linę do góry – odczytałby znaki tak dokładnie jak z drukowanej książki. Ryby teraz maleją i maleją, a tu tymczasem złapałeś taką superpłastugę... bodajże największą, jaką uda nam się złowić

w czasie tej wyprawy! Wczorajszy połów, czyś to zauważył, dał same duże ryby, ale ani jednej płastugi. Tata umie pysznie odczytywać znaki. Powiada, że na Rewach wszystko ma w sobie jakieś znaki, które można odczytywać trafnie lub mylnie.

Gdy kończył mówić, na pokładzie *We're Here* rozległ się strzał.

– To jest hasło zwołujące całą załogę. Tata coś tam już obmyślił, inaczej nigdy by o tej porze nie przerywał połowu. Zwijaj linę, Harvey'u, wracamy.

Ustawili się pod wiatr ku okrętowi, gotowi powierzyć łódkę spokojnemu morzu, gdy naraz żalosne nawoływania rozlegające się o pół mili od nich skierowały ich w stronę Penna, który uganiał się bez ustanku dokoła jakiegoś stałego punktu, zupełnie podobnego do olbrzymiej pluskwy wodnej. Mały człeczyna to cofał się, to powracał znów z niezwykłą zawziętością na dawne miejsce, ale pod koniec każdego z tych manewrów czołno zakręcało w kółko i chybotąło się bezradnie na linie.

– Musimy mu pomóc, inaczej utknie tam na dobre – rzekł Dan.

– A cóż się stało? – zapytał Harvey. Był to jakiś nowy świat, dotąd mu nieznan, w którym on już nie dyktował praw ludziom starszym od siebie, ale musiał z pokorą pytać o wszystko. A morze było przerażająco ogromne i obojętne.

– Kotwica się zaplątała. Penn ciągle gubi kotwice. Już dwie stracił w czasie obecnej wyprawy... i do tego na piaszczystym dnie... a tata mu zapowiedział, że jeżeli straci jeszcze jedną...

ma się rozumieć, podczas połowu... to mu da knagę. Byłoby to śmiertelnym ciosem dla Penna.

– Co to jest „knaga”? – zapytał Harvey, na pół domyślając się, że jest to zapewne jakiś rodzaj tortur marynarskich, o jakich czytał w powieściach.

– Wielki kamień, który ma zastąpić kotwicę. Taką knagę dyndającą na przodzie łodzi widać już z dala, a cała rybacka gromada zaraz wie, co to znaczy. Ej, ośmieszyłoby go to okropnie! A tego Penn nie potrafiłby znieść... To zupełnie, jak gdyby kto psu przywiązał warząchew do ogona... Taki już on zawsze wrażliwy! Hola, Penn! Znowuś ugrzązł? Nie próbuj już więcej swych zdolności. Podpłyn nieco dalej i trzymaj linę prostopadle.

– Nie mogę jej ruszyć – odpowiedział zasapany nieborak. – Nie mogę jej ruszyć, choć robię wszystko, co w mej mocy.

– Cóż to za wronie gniazdo na przodzie? – zapytał Dan, wskazując na gmatwaninę zapasowych wiosł i wszelakich lin poplątanych nieprawą ręką.

– To? – odpowiedział Penn z dumą. – To hiszpańska winda. Pan Salters pokazał mi, jak to się robi; ale i tak nie mogę jej ruszyć.

Dan pochylił się nad klamburką, by skryć uśmiech, szarpnął kilkakrotnie za linę i – o dziwo! – kotwica puściła od razu.

– Ciągnij w górę, Penn! – zawołał, śmiejąc się – bo inaczej znów się zahaczy.

Pożegnali się z nim – jeszcze dziękował im z rozrzewnieniem

i wielkimi, smętno-niebieskimi oczyma wpatrywał się w pazury małej kotewki, obwieszzone zielskiem morskim, zwanym kidziną.

– Wiesz co, Harvey – mówił Dan, gdy już odплыnęli na odległość głosu – czasem przychodzi mi na myśl, że Penn nie wszystkie klepki ma w porządku. Nie jest niebezpieczny, ale w głowie mu czegoś braknie. Czy tego nie widzisz?

– Czy to naprawdę twoje spostrzeżenie, czy jest to tylko jeden z sądów twojego ojca? – zapytał Harvey pochylając się nad wiosłami. Czuł, że potrafi już nimi władać z większą łatwością.

– Tym razem tato się nie pomylił. Penn jest z pewnością pomyłony. Wzięło się to stąd... wiosłuj teraz uważnie, Harvey... a powiem ci to, bo trzeba, żebyś wiedział wszystko należycie. Najpierw był on morawskim kaznodzieją²². Na imię miał Jakub Boller (tak mi powiadał tato)... a mieszkał z żoną i czworgiem dzieci gdzieś w Pensylwanii. Otóż pewnego razu Penn wziął całą swoją rodzinę na jakiś tam ich wiec morawiański, i zatrzymali się na jedną noc w Johnstown. Słyszałeś kiedyś o Johnstown?

Harvey zamyślił się.

– Tak jest, słyszałem. Ale nie przypominam sobie w jakich okolicznościach. Nazwa ta utkwiała mi w pamięci tak samo jak Ashtabula.

– Jedno i drugie związane było z doniosłymi wydarzeniami... Otóż w ową właśnie noc, kiedy Penn ze swoją rodziną przebywał w hotelu, miasto Johnstown uległo zniszczeniu. Przerwała się grobla... ruszyła powódź... domy zostały uniesione prądem...

²² *morawski kaznodzieja* – wyznawca husytyzmu. [przypis redakcyjny]

gruchotały się jedne o drugie i toczyły. Widziałem to na obrazach... dalibóg, to było straszne! Penn, zanim zorientował się, co się dzieje, zobaczył potopioną całą swoją rodzinę. Odtąd już rozum mu się całkiem popsuł. Pamiętał, że coś się wydarzyło w Johnstown, ale przez całe swoje biedne życie nie mógł sobie przypomnieć, co to było... ino pływał tak sobie w kółeczko, uśmiechając się i dziwując. Nie wiedział, ani kim jest, ani kim był... Wówczas to spotkał stryja Saltersa, który właśnie zawitał do jakiegoś miasta w Alleghany. Połowa rodziny mojej matki tam żyje, a stryj Salters zimą jeździ tam w odwiedziny. Otóż stryj Salters, dowiedziawszy się, jakie nieszczęście spotkało Penna, zajął się nim prawie jak rodzonym synem... wziął go na wschód i dał zatrudnienie na swym folwarku.

– A jakże, wczoraj wieczorem, kiedy obaj zderzyli się łódkami, słyszałem, jak Penna nazwano hreczkosiejem. Czy stryj Salters jest farmerem?

– Farmerem! – wrzasnął Dan. – Całej wody od nas aż do Hatt'rus nie starczyłoby na to, żeby zmyć z jego butów glinę. On jest farmerem. Ba, Harvey'u, widziałem jak ten człowiek, na długo przed zachodem słońca, podstawił wiaderko i kręcił czop u beczki z wodą, zupełnie jakby to było wymię krowie. Do tego stopnia przesiąkł farmerskim życiem. Otóż on i Penn udali się na folwark... było to niedaleko od Exeter. Stryj Salters sprzedał go... niby ten folwark... jakiejś lafiryndzie z Bostonu, która chciała sobie pobudować letniak... hej, dostał za to ładny kawał grosza! No i obaj, te dwa głuptaki, żyli sobie jako tako.

Kiedyś stryj przyszedł do taty, prowadząc ze sobą Penna i mówiąc, że on i Penn muszą wybrać się, o tak dla zdrowia, na jedną choćby wyprawę rybacką. Widać, wykalkulował sobie, że Morawianie nie będą ścigali Jakuba Bollera po Rewach. Tato się zgodził, bo stryj Salters wcześniej, przez trzydzieści lat, zajmował się rybołówstwem, gdy jeszcze nie wynajdował patentowanych nawozów, i zajmował kwaterę na *We're Here*. Wyprawa dobrze zrobiła Pennowi, więc tato zaczął go zabierać stale ze sobą. Ale kiedyś, powiada tato, Penn sobie przypomniał żonę, dzieci i miasto Johnstown, a wtedy, jak mówi tato, może to skończyć się śmiercią. Nie gadaj nigdy Pennowi o Johnstown ani o niczym podobnym, bo stryj Salters wyrzuci cię do morza.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.